



SUZANNAH DAVIS

**Lekarka
i kowboj**

Tytuł oryginału:
Dr. Holt and the Texan



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Cześć, skarbie.

Niepokojące brzmienie męskiego głosu zatrzymało doktor Mercedes Lee Holt w miejscu. Stała w izbie przyjęć szpitala Johna Petera Smitha w Fort Worth. Mężczyzna na wózku miał błyszczące ciemne oczy i zakrwawiony bandaż na skroni.

Jednym rzutem oka oceniła krucze włosy, czarną koszulę z zatraskami, rozpiętą i odsłaniającą fragment męskiej piersi oraz mistrzowską kłamrę rozmiarów naleśnika u pasa. Zakurzone kowbojskie buty wraz ze - wielki Boże! - srebrnymi ostrogami wisiały z jednego końca leżanki. Umazana błotem i krwią twarz rozjaśniła się porozumiewawczym uśmiechem.

O Boże, znowu jedna z tych nocy!

W myślach, skarciła się za to, że zabrakło jej czasu, by się starannie uczesać. Wobec tempa pracy w izbie przyjęć, czasem czuła się tak, jakby miała sześćdziesiąt sześć, a nie trzydzieści trzy lata. Ale zawsze znalazł się jakiś podrywacz, który uważał za zabawne flirtowanie ze zszywającą go lekarką.

Był sobotni wieczór, przed świętem Halloween, a do tego pełnia. Cały personel szpitala był zmęczony i próbował sobie radzić z masą czekających w poczekalni pacjentów.

Na pewno nie był jej teraz potrzebny jakiś dowcipniś.

- Nazywam się Holt. Jestem lekarzem - oznajmiła surowo. Spojrzała na ciemnowłosą pielęgniarkę, która jej pomagała. - Lila, co tu mamy?

- Urazy głowy, potłuczenia, możliwość wstrząsu...
- Daj spokój, skarbie - odezwał się mężczyzna. - Wiem, że minęło sporo czasu, ale może jakiś mały całus dla starego przyjaciela?

- Niezła wpadka, kolego. - Wyciągnęła latarkę z kieszeni fartucha. - Zapisaleś numery tej ciężarówki, która cię tak załatwiła?

- To nie wina Sidewindera. Stary byk robił, co do niego należało. - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Wytrzymałem, na nim osiem sekund, zanim mnie zrzucił.

Podeszła bliżej i poświeciła mu w źrenice. Przygryzła wargi.

- Stockyards Rodeo, tak?

Wielka opalona dłoń chwyciła ją za przegub, na twarz kowboja powrócił płomienny uśmiech.

- Jest pani zmienna, panno Mercy. Kiedyś lubiła pani rodeo.

- Na pewno się pan pomylił - oznajmiła lodowato. - Ja... Mercy zamrugała. Od lat nikt jej tak nie nazywał. Była doktor Holt, dla znajomych Lee, zresztą, i tak tylko z nielicznymi była po imieniu. Lecz Mercy, imię z dzieciństwa i wczesnej młodości, pozostawiła za sobą we Flat Fork, wiele lat i kilka pęknięć serca temu...

Spojrzała w roześmiane, piwne oczy kowboja. Świat wokół niej nagle zawirował, poczuła zawrót głowy. Wróciła pamięcią piętnaście lat wstecz. Teraz poznała tego mężczyznę, choć był brudny i zakrwawiony. Wyraźne rysy jego twarzy były wciąż znajome, wciąż drogie.

- Travis?- wykrztusiła.

Puścił jej rękę i położył się z powrotem.

- Najwyższy czas, niebieskooka - stwierdził z satysfakcją.
- Jak... dlaczego....? - Serce biło jej jak szalone. Potrafiła powtórzyć tylko to, co oczywiste. - Travis King. Wielki Boże.
- Podać pani tacę? - spytała Lila.

Mercy oderwała wzrok od pacjenta i potrząsnęła głową.

- Co? A tak, oczywiście. Przepraszam. Pan King to mój przyjaciel z lat dzieciństwa. Dawno się nie widzieliśmy, prawda, Travis?

- Zbyt dawno, skarbie.

W tym niskim głosie nie było zwykłej kpiny, co ją zdziwiło. Odwróciła wzrok, obawiając się tego, co mogła zobaczyć.. Kiedyś liczyła na Travisa Kinga niemal we wszystkim. Była wtedy zakochana w Kennym Prestonie, najlepszym przyjacielu Travisa.

Ale potem wszystko się zmieniło.

Opanowała się, zanim ośwładnęły ją wspomnienia.

Ostrożnie

zdjęła zakrwawiony bandaż.

- Zobaczę, co sobie zrobiłeś, kowboju.
- Drobne potłuczenie. - Zbył kontuzję wzruszeniem ramion, lecz nie potrafił powstrzymać mimowolnego grymasu. - Próbowałem wytłumaczyć to pielęgniarkom przy arenie, ale nie chcieli słuchać. Z trudem ich przekonałem, że nie potrzebuję karetki.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Nie narzekam - uśmiechnął się. - Właściwie to powinienem wysłać im podziękowanie. Nie tylko wygrałem główną nagrodę, ale dostałem się w ręce najpiękniejszej kobiety, jaka urodziła się we Flat Fork. Ogólnie mówiąc, miałem dziś szczęśliwy dzień.

Zerknęła na niego podejrzliwie.

- Czy przypadkiem nie próbujesz ze mną flirtować?

Uśmiechnął się łobuzersko.

- Skarbie...

- Daj sobie spokój, Casanova. Widzę, że wcale się nie zmieniłeś. A ja już od dawna nie jestem zwariowaną fanką rodeo. - Zmarszczyła brwi, widząc nierówne rozcięcie, biegnące od skroni aż do linii włosów, z rany wolno sączyła się krew. - Solidnie oberwałeś. Ile widzisz palców?

- Palców? Jakich palców?

- Proszę zamówić rentgen dla pana Kinga - zwróciła się Mercy do pielęgniarki. - Pełne prześwietlenie głowy.

- Zaraz, przecież żartowałem! - protestował, klnąc pod nosem, gdy pielęgniarka przecierała mu twarz i czyściła ranę.

- Nie ma żartów przy takich obrażeniach, Travis - oświadczyła surowo. - Głowa cię boli?

- Trochę - przyznał.

- Dostaniesz środek przeciwbólowy. Zdejmij koszulę, zobaczę, jak wygląda bok. Nadepnął na ciebie?

- To tylko siniak - mruknął.

- Pozwól, że ja to osądzę.

Travis spojrzał na nią kpiąco.

- No, .no, no. Panna Mercy dorosła i rozstawia wszystkich po kątach. Kto by pomyślał?

- Nie zaczynaj ze mną - odparła swobodnie. - Ja tu teraz rządzę.

Z demonstracyjną niechęcią zsunął rękawy i podał jej koszulę. Mercy rzuciła ją na pobliskie krzesło, gdzie leżał już, rondem do góry, znoszony filcowy kapelusz. Takie położenie dyktowały kowbojskie przesady - żeby szczęście się nie wy-

łało. A ujeżdżacze byków potrzebowali szczęścia.

Mercy odwróciła się i wstrzymała oddech. Przez cały czas zajmowała się ludzkimi ciałami. Jednak była kobietą i musiała przyznać, że nagi do pasa, w czarnych dżinsach i kowbojskich butach, Travis King był wspaniałym okazem męskości.

Szczupły i umięśniony po latach pracy fizycznej, w wieku lat trzydziestu sześciu wciąż miał szerokie ramiona i płaski brzuch, którego pozazdrościłoby mu wielu młodszych mężczyzn. Lekki puszek ciemnych włosów okrywał piersi. Za dawnych dni nie brakowało mu damskiego towarzystwa, a teraz nawet poobijany i posiniaczony emanował męskością. Mercy zauważyła, że również Lila zachowywała się jak czuły odbiornik tego magnetyzmu.

Jednak o takich sprawach najlepiej nie myśleć. Zajął się tym, co najważniejsze. Przycisnęła dłoń do boku Trávisa.

- Boli?

- Nie za bardzo.

- Hmm. - Szybko sprawdziła ramiona, żebra, nogi, potem wyjęła stetoskop. Skóra Trávisa była ciepła i gładka w dotyku. Mimo ostrego zapachu antyseptyku, wypełniającego cały szpital, wyczuwała jego aromat: czysty, męski, delikatnie podniecający.

Przerażona Mercy stłumiła mimowolną myśl. Co się z nią dzieje? Wprawdzie jej życie uczuciowe nie istniało, ale, na litość boską, była zawodowcem, a nie studentką z nadaktywnymi hormonami. W dodatku to przecież Travis, powiernik z lat młodości. Ileż to razy, mimo zakazu rodziców, pomagał jej spotkać się z Kennym, ile razy wypłakiwała mu się na ramieniu.

Zobaczyła go teraz po tylu latach i dlatego jest taka pobu-

dzona. W dodatku nie rozmawiali ze sobą od dnia pogrzebu Kenny'ego. Nieoczekiwanie poczuła dawno uśpiony ból i wyrzuty, które natychmiast stłumiła. Nie powinna znów wędrować tą drogą. Tamto już minęło.

Zdyszana pielęgniarka pojawiła się w drzwiach, przystanąła na chwilę, by spojrzeć na kowboja o nagiej piersi, a potem zawołała:

- Pani doktor, chyba mamy kłopoty na czwórcie.
- Zaraz tam będę, Sandy. Lila, pomóż im.

Obie pielęgniarki poszły do kolejnego pacjenta.

Czując przyływ napięcia, który sprawiał, że zarówno kochała, jak i nienawidziła tę pracę, Mercy szybko skończyła badanie, zmarszczyła brwi i wpisała dane do karty Trvisa.

- Jak werdykt, pani doktor? - spytał.
- Zanim powiem coś na pewno, chcę zobaczyć prześwietlenie. Ale żebra są całe, chociaż będziesz miał paskudny siniak.
- Bywało gorzej.
- Wyobrażam sobie. Chyba wezwiemy chirurga plastycznego, żeby zszyl ci ranę na głowie.
- Nie, do diabła. - Machnął tylko ręką. - Nie możesz sama tego załatwić?
- Niby tak, ale...
- To do dzieła. Nie mam ochoty tkwić tu przez całą noc.
- Poruszył wąsem. - Mam nadzieję, że nie oszpecisz mojej pięknej twarzy. Daleko zaszłaś od czasu, kiedy zostałaś królową balu maturalnego.
- Dzięki za zaufanie - odparła zgryźliwie. - W twoich ustach to brzmi jak pochwała.
- To znaczy?

- To znaczy, że dwukrotny mistrz w ujeżdżaniu byków musi być ekspertem w zszywaniu, ponieważ durnie w ten sposób zarabiający na życie często odnoszą głębokie rany.

Uniósł brwi, zdziwiony jej złośliwością, jak i faktem, że wiedziała o jego wyczynach na rodeo.

- No cóż, oboje wiemy, że problem nie w tym, kiedy jeździec dozna kontuzji, ale jakiego rodzaju.

Zacisnęła wargi z dezaprobatą.

- To nie jest zabawne, kowboju.

- Nie zawsze byłaś taka delikatna, skarbie.

- Tak, wiele się zmieniło, prawda? - Była zdziwiona surowym brzmieniem swojego głosu, ostrym i stanowczym.

- Ale masz rację, Travis. Może miałeś dziś szczęście. Tym razem.

Wciągnęła rękawiczki, ułożyła go wygodnie. Sięgnęła po narzędzia, zrobiła znieczulający zastrzyk i zaczęła naprawiać szkody.

Ze stoickim spokojem obserwował jej twarz.

- Jeżeli takie są twoje poglądy, dziwię się, że interesujesz się rodeo.

- A kto ci o tym powiedział? Mama czasami opowiada mi o wyczynach chluby Flat Fork.

Leżąc nieruchomo, zdołał wyrazić miną swoje zdumienie, że Joycelyn Holt, członkini towarzyskiej elity miasta i żona sędziego Jonathana Holta, zechciała łaskawie zauważyć prostego kowboja.

- Co ty powiesz?

- Oczywiście. Jesteś prawdziwą gwiazdą. Trzeba przyznać, że masz ciekawe życie.

- Tak, chwyciłem byka za rogi. Nie narzekam na nudę.

- Odpowiedź wydała się nieco zbyt entuzjastyczna. - Choć podróże są mordercze. Wiesz, jak to mówią: jeśli rodeo cię nie zabije, to dojazdy na zawody na pewno.

Zmarszczyła brwi, zakładając ostatni szew. Żarty Trávisa wydały się jej niepokojące. Miała przed sobą dowód niebezpieczeństw, jakie groziły mu za każdym razem, gdy wjeżdżał na arenę. Nie wspominając o innych sprawach, które wyczuwała dzięki zawodowej intuicji.

- Travis, czy nie miałeś kiedyś problemów z...

Sandy, jeszcze bardziej zdyszana niż poprzednio, wbiegła do pokoju i przerwała jej w pół słowa.

- Pani doktor, jest nam pani natychmiast potrzebna. Ta matka nie dojedzie na porodówkę!

- O Boże. Skończ ten zabieg, dobrze? - Oddała pielęgniarkę igłę i kłamy. Ściągając rękawiczki, już w połowie drogi do drzwi, Mercy rzuciła jeszcze przez ramię: - Przepraszam cię, Travis. Sandy się tobą zajmie. Tylko nigdzie nie wychodź, dopóki cię jeszcze raz nie obejrzę. Jasne?

- Jasne, pszepani. Nie rusz się. - Leżąc spokojnie i czekając na koniec zabiegu, dodał ponuro: - Możesz być tego pewna.

Mercy przystanąła w progu, już teraz żałując swojej słabości.

- Mimo wszystko, Travis, miło było cię znów spotkać. Wróć tu.

Uporawszy się z pękniętym wrzodem, złamaną ręką, parą bliźniąt i zapaleniem płuc, Mercy odszukała w kartotece zdjęcia rentgenowskie Trávisa i pobiegła do jego pokoju.

Czuła się potwornie zmęczona. Na szczęście zbliżał się koniec dyżuru, choć wątpiła, czy zdoła wyjść o czasie. Zresztą:

nie spieszyło jej się do pustego mieszkania. Była niespokojna, poruszona, myśl o kolejnej przyrządzonej naprędce kolacji i padnięciu w nie posłane łóżko wcale nie była kusząca.

Słumiła westchnienie. Cóż, takie jest życie. Pracowała ciężko z własnego wyboru i teraz nie powinna narzekać. Tyle że obowiązki nie pozostawiały czasu na nic innego.

Pomyślała o Kennym, pierwszej miłości, i o nieudanym małżeństwie rok później. Chociaż ślub był wydarzeniem towarzyskim sezonu, Rick Hulen nie marnował czasu i szybko znalazł sobie inną kobietę. Dobrze, że potem skupiła się na pracy. Związki z mężczyznami wyraźnie jej się nie udawały.

Mercy potrząsnęła głową. Zwykle nie była taka pośepna.

To z pewnością spotkanie z Travisem sprowadziło tę melancholię. Zanim wróci do domu, zapomni o złym nastroju. Musi jednak załatwić sprawę przybysza z przeszłości. Fakt, nie mieli już ze sobą nic wspólnego. Mimo swych sukcesów, Travis wciąż był prawdziwym teksańczykiem: przefruwał z kwiatka na kwiatek i ryzykował życie, jeżdżąc na arenach rodeo. Biorąc to wszystko pod uwagę, będzie lepiej, gdy diabelski wiatr, który przywiał go na izbę przyjęć, wywieje go jak najszybciej z powrotem.

Wyciągnęła zdjęcia z brązowej koperty i otworzyła drzwi pokoju. Travis siedział na fotelu. Włożył koszulę, skrzyżował ramiona na piersi i wyciągnął swoje długie nogi. Czarny kapelusz zasłaniał mu twarz.

Mercy nie mogła powstrzymać uśmiechu. Kiedy zaczynali karierę w rodeo, przekonała się, że on i Kenny mogą spać gdziekolwiek, nawet na zwoju kolczastego drutu. Obaj byli synami ranczerów i lubili takie życie. Podejmując każde wy-

zwanie, pokonali tysiące kilometrów starą ciężarówką Ken-ny'ego, zanim nastąpiła ta tragiczna noc... Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Travis poruszył się i zsunął kapelusz, odsłaniając biały bandaż. Przyglądał się, jak Mercy układa klisze na ekranie.

- Szybko wróciłaś, niebieskooka.
- Przepraszam. - Przygryzła wargę i przyjrzała się zdjęciom. - Wygląda nieźle.
- To świetnie. - Przeciągnął się i wstał. - Z radością się stąd wyniosę.
- Nie tak szybko. Zatrzymam cię do jutra na obserwacji.
- Akurat. - Zmarszczył brwi. - Gzuję się dobrze.
- Z tego, co widzę, twój stan wcale nie jest dobry.
- Spokojnie, głowę mam twardszą, niż się wydaje.
- Nie o twoją głowę się martwię, Niepokoi mnie ten pozabawiony czucia obszar na nodze i plecach. - Wymieniła kilka medycznych terminów związanych z urazem nerwów i kompresją kręgosłupa. - Rano skieruję cię na serię badań, a potem...

- Daj sobie spokój, Mercy.

Westchnęła, walcząc z irytacją.

- Kto tu jest lekarzem? Bądź rozsądny.

Travis wsunął kciuk za pas i spojrzał na nią krzywo.

- Jedyne, co się dla mnie teraz liczy, to fakt, że mam w brzuchu pustkę, którą zapełni jedynie pół kilo polędwicy. Kiedy stąd wychodzisz? Mogę zorganizować drugie pół kilo również dla ciebie.

- Rzadko jadam czerwone mięso.

- Może powinnaś. Musisz trochę przytyć. - Uśmiech pod ciemnym wąsem był kuszący, zachęcający. - Znam świetną

małą knajpę w Rosemont. Wielkie steki, pieczarki w sosie winnym...

- Travis, to ważne. Te badania...

- Mogą poczekać. Raczej nie przewrócę się na ulicy, prawda?

Zawahała się.

- Nie, ale...

- No widzisz. - Kiwnął głową.

Zirytowana, spróbowała jeszcze raz go przekonać.

- Ale naprawdę musisz koniecznie jak najszybciej zrobić te badania. Nie chcę cię straszyć, ale następstwa wypadku mogą być poważne.

- Skarbie, nie mam ochoty spędzać nocy w szpitalu, choćby z jednego powodu. - Konspiracyjnie rozejrzał się wokół i szepnął jej do ucha: - Te koszulki, które tu dają, są zbyt przewiewne.

Zadrżała, czując na twarzy ciepło jego oddechu i muśnięcie aksamitnego wąsa. Odsunęła się i spojrzała na niego gniewnie.

- To nie jest temat do żartów.

Dostrzegł, jak bardzo jest zmęczona, i jego uśmiech zgasł.

- Może nie. Zawrzyjmy umowę. Pozwolisz zaprosić się dziś na kolację i omówimy to szczegółowo.

Po plecach przebiegł jej dreszcz. Travis był częścią przeszłości, o której nie chciała pamiętać. Nie warto jej wskrzeszać.

- Niepotrzebna mi kolacja - oświadczyła stanowczo. - A tobie potrzebne są badania.

- Nawet lekarze muszą jeść.

- Po nocnym dyżurze nie jestem zbyt towarzyska. Poza

tym może minąć jeszcze godzina lub dwie, zanim skończę pracę.

- Ja się nie spieszę. Daj spokój, Mercy. Przestańmy się kłócić. Chyba że czeka na ciebie jakiś chłopak.

- Nie.

- Słyszałem, że wyszłaś za męża. - Spojrzał na nią bawczo.

- Stare dzieje - odparła chłodno. - Sprawa już nieaktualna. Ściszył głos, by zabrzmiał bardziej przekonująco.

- Więc przez pamięć o dawnych czasach.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - odparła szczerze.

Ze zdziwieniem dostrzegła w ciemnych oczach błysk niemal bólu..

- Mercy Holt, jesteś kobietą o kamiennym sercu - oświadczył, znowu przybierając żartobliwy ton i patrząc na nią z uśmiechem. Chyba jej się coś przywidziało. - No dobrze. Jesteś uparta. Zlituj się nad samotnym kowbojem, pomóż mi nakarmić tego człowieka, który siedzi we mnie, a ja jutro albo pojutrze zgłoszę się na badania.

- To szantaż. - Z irytacją zacisnęła zęby.

Wcale nie zawstydzony, spojrział na nią uważnie.

- Potrzebuję twojego towarzystwa.

- Nie oszukujesz mnie? - Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Słowo skauta. - Położył rękę na piersi.

Przecież nic się nie stanie. Jest dorosłą kobietą i może spędzić parę godzin ze starym przyjacielem tak, by wspomnienia z przeszłości nie zburzyły jej obecnego spokoju. Nie musi robić problemu ze zwykłej kolacji, nawet jeśli jest zdenerwowana i lękliwa jak młode źrebię. A przynajmniej będzie miała satysfakcję, że jej uparty pacjent podda się niezbędnym

badaniom.

- No dobrze - zgodziła się z wahaniem.
- O rany... Twój entuzjazm naprawdę może człowiekowi przewrócić w głowie - stwierdził oschle.
- Nigdy nie jesteś zadowolony, kowboju?
- Rzadko mi się to zdarza, skarbie. - Ciemne oczy Tralisa błysnęły. - Dlatego jestem zwycięzcą.

Nie ma się co oszukiwać. Tracił wprawę.

Czarna furgonetka Tralisa, z charakterystycznym logo Mistrza Świata na drzwiach i nalepką związku zawodowych kowbojów rodeo na bagażniku, zatrzymała się przed domem Mercy. Osiedle zbudowano w pobliżu ogrodu botanicznego. O trzeciej nad ranem, w zimny ranek Halloween, nic się tu nie działo. Nic nawet się nie poruszyło, nie wyłączając jasnowłosej głowy, wspartej na jego ramieniu.

Uśmiechnął się żałośnie. Boże, jego kumple z rodeo pękli- by ze śmiechu, gdyby go teraz widzieli. Przecież mógł do- wolnie wybierać kochanki spośród fanek rodeo, czekających w kolejce, by przespać się z mistrzem w ujeżdżaniu byków i podrywaniu. A teraz tak zanudził swoją towarzyszkę, że za- snęła. I po co się męczył, by zmienić koszulę i umyć się w szpitalnej poczekalni!

Oczywiście Mercy zasnęła dopiero po tym, jak nakarmił ją stekiem, napoił czerwonym winem i zmęczył kowbojskimi przechwałkami. Sącząc mrożoną herbatę, z zadowoleniem obserwował, jak z jej pięknej twarzy znika napięcie.

Ale czy naprawdę sądziła, że po tym, jak bezczelnie wykorzystał jej troskę, zmarnuje czas na rozmowę o dawnej przyjaźni? Nie pozwolił mu na to instynkt samozachowawczy.

Dlatego nie wspominał o przeszłości i starał się Mercy rozbawić, roześmiała się nawet raz czy dwa. Travis miał uczucie, że to zbyt rzadko, jak na dziewczynę, która tak ciężko pracuje. Wciąż jednak nie wiedział, czy czuć się zaszczyconym, czy urażonym, że zasnęła w drodze do domu.

Ułożył Mercy wygodniej na siedzeniu. Falista chmura włosów koloru miodu muskała mu policzek. Świeży kwiatowy zapach sprawił, że ogarnęło go drzenie. Może jednak nie było tak źle. W prostych spodniach i bawełnianej koszuli, którą nosiła pod fartuchem, wydawała się drobna i kobieca, wcale niepodobna do tej groźnej, nieustępliwej lekarki, która go wcześniej dręczyła.

Blask latarni oświetlał wnętrze furgonetki. Travis ostrożnie odsunął z twarzy Mercy kosmyk włosów. Przyjrzał się jej twarzy, długim rzęsom i delikatnemu noskowi. Była piękniejsza niż niegdyś. Owszem, wiele razy nieźle oberwał, ale nigdy nie było mu tak ciężko na sercu jak teraz, gdy po piętnastu latach zobaczył Mercy.

Czuł ból. Nie z powodu sińców, jakich nabił mu Sidewinder. Nie, to był żal. Wielki Boże, dałby wszystko, żeby sprawy ułożyły się inaczej.

Mercy westchnęła cicho i natychmiast poczuł się paskudnie. Przepracowała cały dzień i była zmęczona i zziębnięta. Teksaska noc stawała się coraz zimniejsza. I chociaż podobało mu się obejmowanie pięknej kobiety, nie mógł już dłużej wykorzystywać sytuacji.

- Mercy? Skarbie, obudź się. Jesteśmy w domu.
Zatrzepotała rzęsami, odsłaniając oczy tak niebieskie jak teksańskie bławatki. Rozleniwiona i zarumieniona od snu, uśmiechnęła się i przesunęła palcem po jego wusach.

- Nie mogę się do nich przyzwycząić.

Ten przelotny dotyk poraził go. Chwycił jej dłoń, by powstrzymać nieoczekiwaną rozkosz i ból.

- To mój znak firmowy, niebieskooka- wyjaśnił szorstko.
-Bez nich czułbym się nagi.

Poderwała się i zarumieniła, zakłopotana.

- Oj, która godzina?

- Już późno.

Przysłoniła dłonią płonący policzek.

- Nie mogę uwierzyć, że zasnęłam. Tak mi przykro.

- Nie ma sprawy. - Wsiadł z furgonetki i przeszedł na stronę pasażera, by otworzyć jej drzwi. - Za długo siedzieliśmy w restauracji. Odprowadzę cię.

- Nie trzeba. - Sięgnęła do torebki po klucz. - Czuję się świetnie. Ale dziękuję za kolację i wszystko...

Uniósł brwi i przerwał jej.

- Nie kłóć się ze mną. Wiesz, że mama wychowała mnie na dżentelmena.

Dostrzegł jej wahanie, ale wziął ją pod rękę i wyjął klucze z dłoni. Kilka minut później stał już w przedpokoju, a ona zapaliła światło. Nie tego się spodziewał.

Mieszkanie było przestronne, wyposażone w jasne meble. Pionowe żaluzje przesłaniały okna, a na, podłodze leżał kremowy dywan. Stosy nie otwartej poczty i nie przeczytanych magazynów zawaływały stoliki. Na sofie stał kosz pełen ręczników, ścierek i laboratoryjnych fartuchów.

Barowy blat oddzielał pokój od kuchni ze zlewem pełnym talerzy i filiżanek, oraz owiniętym w celofan bukietem zwiędłych kwiatków. Wszędzie pełno było książek, ale Travis nie dostrzegł żadnej fotografii. Tylko wiszące na ścianie dy-

plomy za pracę w rozmaitych klinikach wskazywały, że osoba, która tu mieszka, w ogóle ma jakieś życie.

- Nie rozglądaj się - poprosiła. - Straszny tu bałagan.
- Wepchnęła kosz z bielizną za sofę. Nie mam czasu na sprzątanie.

- Nie przepraszaaj. Tyle czasu spędzam w różnych hotelach, więc mało co mnie dziwi. Też nie mam na nic czasu, zwłaszcza na spotkania z kobietami.

- Tylko mi nie opowiadaj, że brak ci damskiego towarzystwa - odparła sceptycznie. - Potrafisz być uroczy, o czym się dziś przekonałam, więc i tak ci nie uwierzę.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Cieszę się, że ci zaimponowałem, skarbie.
Zdjęła płaszcz, wydawała się smukłą, blada i bardzo zmęczona.

- Poczęstowałabym cię kawą, ale chyba jest zbyt późno...
- Muszę już iść.-Obrócił kapelusz w dłoniach.
- Cudownie było znów cię zobaczyć: Dokąd teraz wyjeżdżasz?

- Do Oklahoma City, w przyszłym tygodniu. Muszę pogadać z facetem o pewnym byku. Sam Preston i ja prowadzimy hodowlę.

- Sam? Brat Kenny'ego?

Jej zdumienie było oczywiste, więc nie miał do niej pretensji. On i Sam nigdy nie sądzili, że zostaną współnikami.

- Niezły numer, co? Ciężko pracujemy. Ja prowadzę imprezy, a Sam załatwia sprawy we Flat Fork. I chyba nieźle sobie radzi. Wiesz, że parę miesięcy temu ożenił się z Roni Daniels?

- Nie, nie słyszałam o tym.

Zapanowała niezręczna cisza. Wreszcie Travis wyciągnął rękę.

- Pożegnam się już.

Oblizła wargi, po czym wsunęła swą delikatną dłoń w jego wielką łapę. Potem wskazała na jego bandaż.

- Za parę dni musisz usunąć szwy,

- Nie pierwszy raz.

- A w sprawie tych badań... Zadzwoń, to cię umówię.

- Mercy? - Odchrząknął zakłopotany, patrząc na ich połączone dłonie. - Muszę ci coś wyznać. Nie potrzebuję tych badań.

Szarpnęła się, ale nie wypuścił jej ręki.

- Travis, przecież obiecałeś.

- Już je przeszedłem. Wszystkie, jakie zalecają w podręcznikach. I jeszcze parę, które wymyślili specjalnie dla mnie - przyznał,

- Jakie były wyniki? - spytała chłodnym tonem, tym razem uwalniając dłoń.

- Mam pewien problem. - Wzruszył ramionami. - Dość poważny, można powiedzieć, ale nic, z czym nie dałbym sobie rady.

- Powiedzieli ci, żebyś przestał uczestniczyć w rodeo - stwierdziła spokojnie.

- Powiedzieli mi, co ryzykuję. Ale, do diabła, na to samo naraża się tysiące innych ujeżdżaczy byków.

- A więc jeździsz i ryzykujesz. Co? Nieustanny ból? Całkowity paraliż? Czy gorzej? - rzucała oderwane słowa, ogarnięta furią. - Dlaczego, u diabła, robisz coś tak kompletnie durnego?

- Jestem mistrzem rodeo, skarbie. - Uniósł rękę. -

Nie złość się na mnie. Wiem, co robię. Poza tym to element gry.

- Gry? - zawołała. - Więc cała ta noc to była gra? Okłamałeś mnie, bo chciałeś, żebym poszła z tobą na kolację. Wykorzystałeś moją sympatię do ciebie, żeby mną manipulować. Wielkie dzięki, przyjacielu.

- To nie tak! - Załamany, wcisnął na głowę kapelusz.

- Chciałem tylko zaprosić cię na kolację.

- Wniosek z tego jest taki, że wcale się nie zmieniłeś. Nie jesteś już chłopcem. Czy nie pojmujesz, że możesz zostać kaleką lub zginąć? Czy tak się przyzwyczaiłeś do bycia mistrzem, że nic więcej cię nie obchodzi?

Zjadliwe słowa Mercy wzbudziły w nim gniew.

- Chwileczkę. Czy przypadkiem nie ma takiego powiedzenia „Lekarzu, lecz się sam”? Jesteś taką samą pracoholiczką jak ja, bierzesz dyżury, upajasz się władzą.

- Nieprawda. - Aż sapnęła ze złości.

- Nie? A co masz za to? Nie posprzątane mieszkanie, zwiędłe kwiaty i ani jednego przyjaciela czy kochanka w okolicy. - Skrzywił się. - Ja przynajmniej mam mistrzowską klamrę.

- Niewielka pociecha dla łobuza i podrywacza, który nigdy nie dorósł -odparła drwiąco.

Travis poczuł, że płoną mu policzki.

- Nikt się na mnie nie skarżył.

- Nie, na szczęście dla ciebie te nastoletnie króliczki, które wciskają ci swoje numery telefonów, nie mają z czym porównać twoich wyczynów. - Dumnie uniosła głowę. - Ciekawe, jak byś sobie radził z kimś równym sobie.

Przymknął powieki.

- Zobaczmy - warknął.

Objął ją, przyciągnął do siebie i odszukał ustami jej wargi. Odpychała go, szarpała za klapy kurtki. Nie zwracał na to uwagi. Przytulił ją jeszcze mocniej, aż poczuł, że zadrżała. Usta miała gorące i słodkie. Po chwili zapomniał, co właściwie chciał udowodnić, nie pamiętał o niczym prócz tego, że był głodny, a ona była jedynym posiłkiem, którego pragnął.

Złagodził nacisk, tulił ją teraz delikatnie, pragnąc, by też się rozluźniła. Rozchylił jej wargi językiem. Teraz przylgnęła do niego i też już nie pamiętała, z jakiego powodu zaczęli tę grę. Wiedziała tylko, że wszystko skończyło się za szybko.

Travis odsunął się. Oddychając z trudem spojrzał w twarz Mercy. Natychmiast pożałował tego, co zobaczył: bladość, nabrzmiałe wargi, różowe ślady jego całodniowej szczeciny na delikatnej skórze. Poruszyła się niepewnie, więc odsunął się od niej.

W jej oczach lśnił przyciemniony błękit burzowej chmury.

- Lepiej... lepiej już idź.

- Mercy, ja...

Odwróciła się.

- Po prostu wyjdź.

Zamknął za sobą drzwi i dotarł do furgonetki, nie bardzo pewien, jak doprowadziły go tam drżące nogi. Odrętwiały z obrzydzenia w stosunku do siebie, wpatrywał się tępo w przednią szybę. Wreszcie uderzył pięścią w kierownicę.

- Do diabła! Niech to szlag!

Zawalił sprawę. Kłął, ponieważ mężczyzna nie płacze, choćby miał na to ochotę. Bóg świadkiem, wystarczyło jedno dotknięcie ust Mercy i znów, jakby to było wczoraj, ogarnęła

go cieleca miłość do tej bogatej panienci.

Tylko że wtedy nie miał szans, bo była dziewczyną jego najlepszego przyjaciela.

Teraz też nie miał żadnych szans, nawet po tylu latach, ponieważ to on zabił Kenny'ego, a ona nigdy mu tego nie wybaczy.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Zawsze się zastanawiała. W tajemnicy. A teraz wiedziała.

Mercy odgarnęła rozwichrzone włosy, jeszcze raz spojrzała na krzepnącą już nieapetyczną zupę z puszki, potem odsunęła talerz. Musiała coś zjeść, zanim wyjdzie na nocny dyżur, ale żołądek zacisnął się i nie chciał rozluźnić. Trwało to od chwili niespodziewanego pocałunku Tralisa.

Ten pocałunek był niszczycielski. Gwałtowny, władczy, tak wprawny i podniecający, że odebrał jej wolę sprzeciwu, pozostawiając ją bezradną i drżącą. Niech diabli wezmą tego wrednego podrywacza!

Niech ją wezmą za to, że jej się to podobało.

Jęknęła cicho i ukryła twarz w dłoniach. Zamiast przespać cały dzień, rzucała się i przewracała w łóżku, niezdolna zrozumieć, co się stało. W jaki sposób sprawy zdołały tak szybko wymknąć się spod kontroli i to z mężczyzną, który powinien być jedynie jej przyjacielem? Była na niego wściekła, ale dlaczego sprowokowała go do czegoś, na co żadne z nich nie było przygotowane i czego żadne nie chciało?

Kłamstwo. Ona chciała.

Poczucie winy nie dawało jej spokoju. Poderwała się i wyłała zupę do zlewu. Gdyby była wobec siebie chociaż odrobinę uczciwa, musiałaby to przyznać. Już jako siedemnastolatka, chociaż była dziewczyną Kenny'ego Prestona, obserwowała, jak Travis wypróbowuje na kobietach swój ogromny czar, i zastanawiała się, czy prawdziwe są powtarzane szep-tem plotki, które słyszała w dziewczęcej szatni. Teraz niemal się o tym przekonała i miała wrażenie, że wciąż tkwi w niej to

głupie, rozpuszczone zbuntowane dziecko, którym wtedy była. Czują do siebie niechęć.

Dorośnij, Mercy.

Stos brudnych talerzy nie mieścił się już w zlewie. Wiedziała, że powinna załadować je do zmywarki, ale wydało jej się to zbyt trudnym zadaniem. Przeszła więc przez rozsuwane szklane drzwi na maleńkie patio i odetchnęła chłodnym jesiennym powietrzem w bezowocnym wysiłku ukojenia rozdygotanego serca.

Światła samochodu tańczyły na bulwarze za ceglany mur, który chronił przed nieustannym szumem ulicy. Jednak powietrze było czyste i przesycone zapachem suchej trawy przywiewanym z równin na zachód od Fort Worth. Drżąc pod luźnym swetrem, Mercy spójrzała na nocne niebo, a zapach ziemi i siana wzbudził wspomnienia Flat Fork, dawno minionych dni i wszystkich tych głupich rodeo. Wyraźnie przypominała sobie noc sprzed dziewięciu lat...

W zaniedbanym motelowym pokoju odbił się echem ogłuszający huk drzwi, zatrzaśniętych za jej rozgniewanym ukochanym.

- Dlaczego Kenny mi to zrobił? – Głos Mercy był płaczliwy.

- Nie powinnaś go zaskakiwać, przyjeżdżając tak nagle - odparł Travis.

Siedział bez koszuli w pospiesznie wciągniętych dżinsach, zaspany i posiniaczony po zakończonych tego dnia zawodach w ujeżdżaniu byków. Spoglądał na nią z miną światowca, z wyżyn swoich dwudziestu jeden lat.

- Jechałam cztery godziny, żeby się z nim zobaczyć - powiedziała oburzona. Pokój był nędzny i śmierdział stęchlizną:

sypialnia dla pary początkujących kowbojów, startujących w drugorzędnym rodeo w małym teksańskim miasteczku. Przysiadła na brzegu nie zasłanego łóżka i jej wargi zdrząły płaczkliwie. - Czasami wydaje mi się, że w ogóle mnie nie lubi.

- Szaleje za tobą.
- Więc dlaczego wybiegł?

Travis westchnął i oparł biodro o szafkę zastawioną pustymi butelkami po piwie.

- Kenny'emu nie podoba się to całe ukrywanie.
- Wcale się nie ukrywam!
- Przecież jest środek nocy, dziewczyno. Rodzice wiedzą, gdzie jesteś?

Zaczerwieniła się, położyła dłonie na obcisłych dżinsach.

- Nie całkiem.

Uniósł brwi.

- Ani tego, że przywiozłaś tu swój tyłek całkiem sama w tym swoim eleganckim kabriolecticie.

Potrząsnęła głową, odrzucając z twarzy jasne włosy, i dumnie uniosła głowę.

- Mam osiemnaście lat. Mogę robić wszystko, co mi się podoba.

- Nie jest lekko takiemu dumnemu mężczyźnie jak Kenny, kiedy sędzia Holt uważa, że nie jest dość dobry, by chodzić z jego córką. A ty takimi numerami tylko go w tym utwierdzasz.

- Moi rodzice niczego nie rozumieją - odparła ponuro.
- To nie moja wina, że wciąż żyją w epoce kamiennej.

- Dorośnij, Mercy. Rozsądni ludzie nie zachowują się w taki sposób. Gdybyś była z nimi szczerą...

- Nie traktuj mnie jak dziecko, Travis. Nie bądź taki, jak moi rodzice. Nigdy nie słuchają tego, co mam do powiedzenia, czy to o szkole, czy o koleżankach, czy o tym, że chcę się wyrwać z nudnego Flat Fork.

- Po prostu nie chcą, żebyś chodziła z maniakiem rodeo, i właściwie trudno mieć do nich pretensje. Bóg świadkiem, że to nie jest dobry zawód. A może bunt wobec nich jest jednym z powodów, dla których Kenny wydaje ci się atrakcyjny.

Zranił ją tym do żywego.

- Jak możesz tak mówić! Jestem w nim zakochana.

- Ale czasem dziwnie to okazujesz. Stawiasz go w fatalnej sytuacji. Kiedy nauczysz się najpierw myśleć, a potem działać?

Te słowa wzbudziły nieoczekiwane ukłucie łez pod powiekami. Travis był pośrednikiem między nimi, mogła mu powierzyć tajemnice swego serca. Teraz przekonała się, że był sprzymierzeńcem pełnym dezaprobaty. Uczucie zawodu było niemal tak silne, jak po wyjściu Kenny'ego, Może nawet bardziej.

- Jeżeli tak mnie potępiasz - powiedziała drżącym z bólu głosem - to dlaczego nam pomagales?

Travis wzruszył ramionami.

- Kenny jest moim najlepszym przyjacielem.

- I człowiekiem, którego kocham - oznajmiła z przekonaniem, które odsunęło wszelkie wątpliwości. Łzy oburzenia pociekły jej po policzkach: - A teraz mi tłumaczysz, że nienawidzi mnie tylko, dlatego, bo chciałam go zobaczyć. Czy niczego nie mogę zrobić tak, jak należy? O Boże, co teraz będzie?

Szlochając, opadła na kołdrę i zwinęła się w kłębek.

- O rany, przestań, mała. No, nie płacz, niebieskooka.
- Łóżko ugięło się pod ciężarem Trvisa, a stwardniałe od sznura ręce uniosły ją i przytuliły do nagiej piersi. - Mercy, nie mogę patrzeć, jak płaczesz.

- Dlaczego miłość tak boli? - Łkając, przylgnęła do Trvisa, a łzy ściekały na twarde opalone ramię.

- Myślę, że miłość nie wybiera, kogo ma dopaść - powiedział głosem szorstkim niczym żwir.

- Ale dlaczego Kenny niczego nie rozumie? Ty rozumiesz, prawda? - Stłumiła szloch, spojrzała na niego błyszczącymi od łez oczami. - Jesteś lepszym przyjacielem niż on. Czasami chciałabym...

- Cicho, już nie płacz. - Ucałował ją w czoło, gładząc palcami jej przedramię.

Mercy brakło tchu. Zadrzała, pod wpływem jego dotyku po skórze przebiegł dreszcz. Nagle w pokoju było za mało powietrza, jakby wybuchł żar i pochłonął cały tlen.

Mrucząc uspokajająco, musnął ustami kącik jej oka, ścierając słoną łzę. Rozchyliła wargi ze zdziwienia i oczekiwania... na co? Nie wiedziała, mogła tylko czekać w napięciu, czując, jak jej ciało zmienia się w galaretę pod dotykiem męskich warg. Serce biło jej tak mocno, że musiał to słyszeć.

Wydawało się, że on także na coś czeka. Usta zawisły kilka centymetrów od jej warg, a ciemne oczy wpatrywały się w nią tajemniczo. Mocniej ścisnął jej ramię, muskając pierś przez cienki trykot koszulki.

Zakłopotana i bezwstydnie podniecona, poczuła, że kręci jej się w głowie. Przecież nie może naprawdę tego odczuwać. Tego pragnienia, by ich usta się zetknęły, by doświadczyć ich smaku. Przecież to Travis! Najlepszy przyjaciel mężczyzny,

któremu przysięgała, że go, kocha. Czy oszalała, czy to ten blask płonący w ciemnych oczach ją zaczarował?

Co by zrobił, gdyby objęła go i przyciągnęła do siebie? Co ona by uczyniła, gdyby Travis skorzystał z jej oferty i zaczął ją chować? Co gorsza, jak by postąpiła, gdyby tego nie zrobił?

Potencjalna możliwość odrzucenia, całkowitego poniżenia, sprawiła, że zeszywniała. I nagle dostrzegła na twarzy Trávisa zwykłą kpiącą minę. Pomyślała, że była to tylko gra jej wyobraźni.

- Bóg mi świadkiem, panno Mercy, fatalnie wyglądasz, kiedy beczysz. - Uwolnił ją i po bratersku ucałował w czubek nosa.

Podniecona, odsunęła się, używając brzegu koszulki do otarcia mokrej twarzy. Czy się domyślał, co przed chwilą czuła? O Boże, jakie to straszne!

- Przepraszam - wymamrotała, ale nie była pewna, czy przeprosiny dotyczą płaczu, czy tego, że postawiła go w nieprzyjemnej sytuacji zdrady zaufania najlepszego przyjaciela.

- W porządku, skarbie, jesteś zdenerwowana. - Włożył ozdobną kowbojską koszulę, potem wbił stopy w parę znożonych butów. - Poszukam Kenny'ego. Wszystko będzie dobrze. Wiesz, że nie może długo się na ciebie złościć? Owiñęłaś go dookoła tego ślicznego małego paluszka.

Przełknęła ślinę. Nie spodobał jej się obraz, jaki nakreślił.

- Myślisz, że tak to wygląda?

- Pewnie. - Otworzył drzwi i uśmiechnął się kpiąco, lecz jego oczy patrzyły na nią badawczo. - Kenny z pewnością już się uspokoił.

- Mam nadzieję. - Ona też potrzebowała odrobiny spokoju, jeśli chciała, by związek z Kennym trwał nadal. Ale najpierw musiała coś sprawdzić. - Słuchaj, Travis, czy ty kiedyś się zakochałeś?

Zamarł na chwilę, a potem uśmiechnął się znowu z całą swobodą.

- Jasne, skarbie. Mniej więcej co dziesięć minut to robię. Jedyny problem w tym, że błyskawicznie się odkochuję.

Nagle jakby lodowaty wiatr dmuchnął Mercy w twarz i przywrócił ją do teraźniejszości.

- Co dziesięć minut...

Więc o to chodziło, uświadomiła sobie, wracając do rzeczywistości. Niektórzy mężczyźni nigdy się nie zmieniają. Taki podrywacz jak Travis wykonywał po prostu typowy męski eksperyment, całując ją zeszłej nocy. Może od dawna miał na to ochotę, a ona była bezbronna, zmęczona i w rezultacie nieostrożna.

Drżąc, wróciła do domu. Mówiła sobie, że to od chłodu, ale w głębi serca wiedziała, że to pamięć pocałunku wywołuje u niej gęsią skórkę. W jej kontaktach z Travisem było wiele spraw nie wyjaśnionych: sprawa Kenny'ego, jak zginął, i jak potem Travis zniknął z jej życia. Czowała się wówczas tak, jakby straciła nie jednego mężczyznę, na którym jej zależało, ale dwóch.

Nie warto zresztą wprowadzać dodatkowych komplikacji w i tak już skomplikowane życie, przyznając, że wciąż jest podatna na urok tego kowboja. I dobrze, że już więcej go nie zobaczy.

Jakby na znak, rozległ się dzwonek u drzwi. Wiedziała, kto to, zanim jeszcze otworzyła, ale nie była przygotowana na ten

wyraz skrępowania na twarzy Trávisa i na wielki bukiet kwiatów, który jej wręczył.

- Przyszedłem cię przeprosić.

Stała bezradnie w progu, trzymając opakowany w celofan bukiet i wdychając aromat róż i narcyzowi Co mogła zrobić z człowiekiem, który stał przed nią z kapeluszem w ręku?

Rzucić mu w twarz ten piękny bukiet?

- To nie było potrzebne - wymamrotała.

Wargi pod czarnym wąsem zacisnęły się.

- Dla mnie było. Twoja przyjaźń zawsze zbyt wiele dla mnie znaczyła, żeby ryzykować jej utratę z powodu jakiegoś głupstwa. Powiedz, że nie zepsułem wszystkiego.

- Nie, oczywiście że nie. - Pokręciła głową, szukając jakiegoś usprawiedliwienia. - Kiedy zobaczyłam cię po tylu latach, oboje byliśmy pełni emocji, i tyle. Nie się nie stało.

- Miło mi to słyszeć, skarbie.

Wskazała ogromny bukiet.

- Dzięki, kwiaty są śliczne. Może wejdiesz?

- Lepiej nie. - Uśmiechnął się żałośnie. - Nie należy kusić losu. Zresztą musisz iść do pracy, prawda?

Była dziwnie rozczarowana, lecz starała się tego nie okazać.

- Tak, masz rację.

- A więc znikam. - Wcisnął kapelusz na głowę. - Zrobisz coś dla mnie?

- Jeśli zdołam. - Przygryzła wargę.

- Zapłaciłem masę forsy za te kwiaty - mruknął. - Obiecasz, że wstawisz je do wody?

Zrobił aluzję do zwiędłego bukietu, który wczoraj zauważył, a który w końcu przed godziną wyrzuciła do kosza. Może

pomyślał, że była zbyt zmęczona, by szukać wazonu. A może zakładał, że bogata dziewczyna nie będzie się przejmować takimi drobiazgami.

Zarumieniona, skinęła głową.

- Nie martw się. Natychmiast włożę je do wody.

Zaniepokojony goryczą w jej głosie, zawahał się, a potem zaskoczył ją, gładząc po policzku w krótkiej i aż nazbyt niepokojącej pieszczocie.

- Zobaczmy się jeszcze, niebieskooka.

Mercy nie zamykała drzwi, dopóki zupełnie nie ucichł odgłos jego kroków. Kiedy wypuściła klamkę, drżała. Celofan trzeszczał jej w rękach, przypominając o obietnicy. Po chwili kwiaty były już bezpieczne w dzbanku z rżniętego szkła - prezent od matki, którego aż do tej chwili nie wyjęła z pudełka. Mercy wzięła fartuch i odruchowo sprawdziła, czy ma identyfikator, pióro i stetoskop.

„Zobaczmy się jeszcze”, powiedział. To nie był dobry pomysł. Nie wtedy, kiedy reagując na jego dotyk, zachowuje się jak cysterna nitrogliceryny. Musi zadbać o swoje życie i dobrze wykonywać powierzone jej obowiązki.

Zresztą ona pewno nie mówił tego poważnie, pomyślała, wychodząc z mieszkania. Nie, pewnie minie kolejne piętnaście lat, zanim spotka się z Travisem. I bardzo dobrze. Z pewnością nie jest jej potrzebny ciemnooki wygadany kowboj, który nie dba o własne bezpieczeństwo, zjawia się niespodziewanie, nazywa ją „skarbem”, miesza jej w głowie i przywoździ myśli o tym, co mogłoby się zdarzyć,

- Co to za facet w czerni?

- Johnny Cash? - Dwa dni później Mercy notowała coś

na karcie ostatniego tego wieczoru pacjenta.

- Nie, to nie on. - Młoda pielęgniarka przerzuciła na jedną rękę karty, stuknęła Mercy w ramię i wskazała palcem. - Tamten..

Mercy uniosła głowę i nie mogła opanować mimowolnego uczucia radości na widok Trávisa, który zbliżał się do niej z uśmiechem. Starannie stłumiła niestosowną radość i zmarszczyła brwi.

- Travis, co tu robisz? - Z zawodową troską zerknęła na bandaż na jego skroni. Coś się stało? Bóle głowy?

- Spokojnie, pani doktor. Wszystko w porządku. Jestem tu jako samotny kowboj, szukający miłego towarzystwa. Kiedy mogę cię wyrwać z tego młyna?

Mercy oblizwała wargi.

- Wiesz... nie przypuszczałam, że...

- I to wszystko - oznajmiła pielęgniarka, z westchnieniem ulgi zamykając ostatnią teczkę, -Do widzenia, pani doktor.

- Świetnie. — Travis włożył kciuki za pas - Ghodlmy, postawię ci kolację. A może wolisz śniadanie?

Kusił ją nieodparcie. Wiedziała instynktownie, że to zwiastuje kłopoty. Starła się być rozsądna i pamiętała o swojej decyzji, że najlepiej trzymać się od niego z dala. Pokręciła głową.

- Dzięki, ale naprawdę nie mogę. Mam stos prania i muszę trochę poczytać.

Travis pokręcił głową, wziął ją pod rękę i poprowadził korytarzem wypełnionym zapachem antyseptyków.

- To marne życie dla takiej dziewczyny jak ty.

W żaden sposób nie mogła mu się wyrwać, nie zwracając na siebie uwagi. I tak wszyscy na nich patrzyli, obsługa i pa-

cjenci czekający w izbie przyjęć.

- Czasem musisz także wachać róże, niebieskooka.
- Tak słyszałam.
- I co? - Uniósł ciemne brwi.
- I to, że twój bukiet, który dopieszczam aspiryną, pięknie rozkwita. I owszem, wacham te cholerne kwiaty.

Szczerze mówiąc, w żaden sposób nie mogła tego uniknąć. Zapach róż wypełnił całe mieszkanie. Za każdym razem, gdy otwierała drzwi, witał ją słodki aromat wiosny, młodości i nowej nadziei,

Travis uśmiechnął się z satysfakcją.

- Widzisz - powiedział cicho - mam na ciebie dobry wpływ. A że ktoś musi się tobą zająć, więc idziemy. To zalecenie doktora Kinga.

Nie zwracając uwagi na jej protesty, porwał ją swoją czarną furgonetką do Stockyards, mekki turystów. Nakarmił ją żeberkami z grilla, potem uparł się, by zajrzeli do cieszącego się złą sławą baru Billy Bob Texas, gdzie, jak Mercy ze zdziwieniem zauważyła, został rozpoznany i powitany z radością.

Przekomarzania i kowbojskie żarty Trávisa doprowadzały ją do śmiechu. Z pozoru powrócili do dawnych, przyjacielskich kontaktów, musiała się jednak strzec przed pojawieniem się innych uczuć.

Kilka godzin później Travis odwiózł ją do domu, ponownie odrzucając zaproszenie, by wstąpił na kawę. Mercy była przyjemnie zmęczoną i zdziwioną własnym rozluźnieniem. Rzuciła się na łóżko i uświadomiła sobie, że Travis miał rację. Ona również potrzebuje odrobiny rozrywki. Będzie musiała zająć się bardziej regularnym zaspokajaniem takich potrzeb. Ostatnią myślą, jaka nawiedziła senny umysł, była ta, że bez

Travisa to już nie będzie to samo.,.

Ale przez następne parę dni miała go czasami szczerze dość. Mimo postanowień, nie potrafiła go unikać. Pojawiał się w najbardziej nieoczekiwanych chwilach, porywał ją ku nowej przygodzie, nie dając nawet szansy na odmowę. Zabrał ją na przejażdżkę, kupował jej śniadania barach, zaprowadził na nocny seans filmowy, masował stopy! A kiedy wyjechał do Oklahoma Gity obejrzeć nowego byka, zamówił dostawę pizzy do jej mieszkania, by mieć pewność, że coś zje.

Nie była przyzwyczajona do takiej troski. Czuli się nawet trochę winna, widząc, ile czasu poświęca na realizację jej „terapii”, Ale chyba nie było sposobu, by tego człowieka do czegokolwiek zniechęcić. Po jakimś czasie przestała nawet próbować. Jeśli zastanawiała się nad motywami jego postępowania, wiedziała, że jest jak puszek dmuchawca, który wkrótce odpłynie z jej życia: równie nagle, jak się pojawił. Udawała przed sobą, że ten przeszywający ją czasem dreszcz, który przypominał, że Travis jest w każdym calu mężczyzną, to tylko aberracja, co szybko minie. Postanowiła cieszyć się tym, że ich przyjaźń wciąż trwa, i korzystać z niej, póki może.

Na tym etapie życia tylko na to mogła mieć nadzieję. Gdzieś w głębi serca podejrzewała, że i tak otrzymuje więcej, niż na to zasługuje.

Dręczyło go poczucie winy i chciał zostać ukarany.

Travis nacisnął dzwonek u drzwi Mercy, niepewny, co właściwie tu robi. Do diabła, już dawno powinien wyjechać, a raczej odlecieć do Colorado Springs, by w ten weekend startować na otwarciu sezonu. Zamiast tego tkwił tutaj, wło-

czył się za Mercy jak jakiś szczeniak w nadziei na resztki, na odrobinę uczucia, uwagi, czegokolwiek.

Był dla niej wyjątkowo miły po tym, jak pierwszej nocy niemal zepsuł całą sprawę. A przecież tak naprawdę chciał tylko znowu wziąć ją w ramiona, dotknąć wargami jej ust i przekonać się, czy naprawdę jest tak cudowna, jak to zapamiętał. Pragnął tego tak bardzo, że był bliski szaleństwa. Strategia platonicznej przyjaźni była tylko wybiegiem, by Mercy przyzwyczaiła się do niego, zanim przystąpi do właściwego ataku i zmusi ją, by widziała w nim nie tylko dawnego kolegę. Ale jak, do diabła, ma tego dokonać, jeżeli Mercy wciąż traktuje go jak starszego brata. Chyba powinien iść do psychiatry z tą swoją poobijaną przez byka głową,

Drzwi otworzyła Mercy w szlafroku. Jedną ręką przytrzymała jego kłapy przy gładkiej szyi, a złociste włosy spływały na ramiona.

- O, Travis. Cześć.

- Cześć, niebieskooka

- To nie jest dobry moment. - Skinęła głową przez ramię.

- Ważnie brałam prysznic, a za chwilę wychodzę do pracy.

- Wiem, że przeszkadzam, ale zastanawiałem się...-Dotknął bandaża na skroni, śmiejąc się z siebie, że korzysta z każdego pretekstu, by być przy niej. - Chyba pora pozbyć się tych szwów. Jutro wieczorem mam spotkanie z bykiem i chcę dobrze wyglądać.

- Wyjeżdżasz...?

Zamilkła, lecz Travis zdążył wyczuć lęk w jej głosie. A może sobie tylko to wyobraził.

- Tak, Colorado w ten weekend, a potem jadę do Flat Fork. Parę niezłych sztuk nam zginęło i Sam dostaje furii.

Więc jeśli mogłabyś pobawić się w doktora.

Zawahalała się, lecz skinęła głową.

- Pewnie. Wejdz.

Gdy przestąpił próg, usłyszał szum płynącej wody.

- Nie przeszkadzaj sobie, weź ten prysznic, potem zajmiesz się szwami i będziesz mnie miała z głowy.

- W porządku. - Uśmiechnęła się. - Rozgość się.

Wyszła do łazienki, a Travis rozejrzał się po pokoju. Zauważył, że od ostatniej wizyty niewiele się w nim zmieniło. Wciąż panował bałagan. Odwiesił kapelusz i wziął się do pracy.

- O Boże, coś ty narobił?

Travis, kończąc zmywanie, spojrzał na nią zaskoczony. Mercy patrzyła na niego z absolutną zgrozą. Wciąż była w szlafroku. Skóra lśniła jej od wody, a świeżo umyte włosy skrywał turban z ręcznika. W ręku trzymała lekarską walizkę.

- To się chyba nazywa sprzątanie.

Przyjrzała się czystym talerzom na suszarce, poukładanym papierom, odkurzonym meblom, Stłumiła jęk.

- Czuję się upokorzona, Travis. Naprawdę nie powinienś.

Wytarł ręce i powiesił mokrą ścierkę na kranie.

- Spokojnie, skarbie. Od dawna jestem kawalerem. Możesz nie wierzyć, ale odkąd rodzice przeszli na emeryturę, a obie siostry wyszły za mąż, siedzę na ranczo sam i świetnie sobie radzę w kuchni. Poza tym to niewielka pomoc za darmołą opieką medyczną, co, moim zdaniem, jest całkiem uczciwą transakcją.

- Myślisz, że jestem bałaganiarą.

- Nie. Ja wiem, że jesteś bałaganiarą. - Uśmiechnął się.
- Ale u zapracowanych lekarzy to dopuszczalne. Może byś kogoś wynajęła do pomocy?

- Byłam zbyt...

- ...zajęta. Tak, wiem. - Spojrzał na nią surowo. - Skarbie, musisz zacząć żyć.

- Moje życie mi odpowiada, dziękuję uprzejmie. - Mercy sięgnęła do walizeczki po nożyczki i pincetę. — Siadaj, kowboju.

- Ojoj, będzie bolało? - Usiadł na barowym stołku i oparł obcas o jego mosiężną poprzeczkę.

- Myślałam, że ujeżdżacze byków nie czują bólu. - Czubkiem palca uniosła mu brodę, zdjęła bandaż, przeczyściła ranę i zreżymie usunęła szwy.

Poczuł lekkie ukłucie i syknął, wdychając zapach Mercy. Oszalała go. Podniecała.

- To legendy. Takie jak te, że my, rycerze rodeo, nieodparcie przyciągamy kobiety - oświadczył zduszonym głosem.

- A to nieprawda?

- Może ty mi powiesz?

Spojrzała na niego zaskoczona, ale nie odpowiedziała. Odwróciła się i schowała narzędzia do walizeczki.

- Wiesz, że nie może tak dłużej być - mruknął. - Spotykamy się tylko nocą, jak para wampirów. Kiedy masz wolne? Chciałbym dla odmiany zobaczyć cię w dzień.

Zaśmiała się, skrepowana.

- Po co? Żebyś mógł policzyć moje kurze łapki? Przyćmione oświetlenie dobrze wpływa na wygląd podstarzałej lekarki.

Chwycił ją za łokieć i przyciągnął do siebie. Ściągnął rękę

cznik z jej wilgotnych włosów, po czym przesunął palcami wzdłuż smukłej szyi. Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczenie.

- Wiem, że jesteś jeszcze piękniejsza niż wtedy, kiedy byłaś nastolatką - powiedział cicho.

Zamarła.

- Nie żartuj ze mnie.

- Dlaczego myślisz, że żartuję? - Kciukiem przesunął wzdłuż linii jej obojczyka.

- Bo tak zawsze robi słynny Casanova z Teksasu.

- Może tak, może nie. - Pochylił się i musnął nosem jej szyję, łaskocząc wąsami skórę. Uśmiechnął się do siebie, gdy poczuł, że ogarnia ją dreszcz.

Uderzyła go w ramię.

- Przestali, Travis. Próbujesz wszystko pozmieniać.

- Właśnie. Cieszę się, że to zauważyłaś.

- Myślałam, że wszystko już wyjaśniliśmy - odparła gniewnie. - Znam cię. Masz jakiegoś króliczka w każdym mieście stąd do Kalifornii. Może czujesz się znudzony, może jestem jakimś wyzwaniem z przeszłości, ale nie pójdę do łóżka z kowbojem. Zwłaszcza z tobą.

Ścisnął jej przedramiona, odsunął się i zacisnął zęby.

- Nie przypominam sobie, bym wysunął takie propozycje, skarbie. Ale nie załamuj się, jestem pewien, że w końcu do tego dojdę. Jeżeli dobrze rozegrasz swoje karty.

- Daj mi spokój. Nie jestem zainteresowana.

- Kłamstwo. Wiesz równie dobrze jak ja, że dzieje się między nami coś dziwnego.

- Ale nic poważnego. - Spojrzała na niego z wyższością, niczym księżniczka, która miażdży wzrokiem człowieka z gminu. - Nic, w co mogłabym uwierzyć.

Krew w nim zawrzała. Słowa Mercy otwały na wpół zagojoną ranę dawnej niepewności - fragment umysłu, który wciąż czuł się odpowiedzialny za wypadek Kenny'ego. Musiał zwariować, wierząc, że zapomni o tym choćby na chwilę, że zdoła ocalić przyjaźń, będącą czymś więcej, niż powinna.

Ale przecież nigdy nie udawał, że jest fizykiem jądrowym. Do diabła, nie skończył nawet college'u! Nie ma i nigdy nie miał wiele do zaoferowania bogatej dziewczynie. Te baty, które otrzymał przed tygodniem, musiały nieźle zamieszać mu w głowie.

Uśmiechnął się ponuro.

- Panna Mercy Holt, kobieta bez serca i zimna jak zawsze. Dlaczego mnie to nie dziwi?

- Tylko dlatego, że jestem zbyt mądra, by dać się nabrać na twoje kowbojskie wdzięki. Nie przejmuj się tym. - Z twarzą ściągniętą gniewem, próbowała się wyrwać, ale Travis trzymał ją mocno. Jej głos brzmiał surowo: - Jestem pewna, że znajdziesz wiele pustogłowych podlotków, które będą robić słodkie oczy i wzdychać do mistrza rodeo, zrobią wszystko, czego zapragniesz. Nie jestem ci do tego potrzebna.

- Masz rację, nie jesteś mi do tego potrzebna. - Uśmiechnął się drapieźnie. - Mam ważniejsze sprawy niż zajmowanie się rozkapryszoną małą wiedźmą, która nigdy nie dorosła. Oczywiście, mogłoby być ciekawie, póki by się nie skończyło. Ale tego się nigdy nie dowiemy.

Aż zaniemówiła ze złości.

- Ty obrzydliwy gadzie. Ty żaloszny...

- Z drugiej strony - dodał - nie chciałbym cię rozczarować.

Przyciągnął ją bliżej, przykrył jej wargi swoimi, tłumiąc

cichy jęk protestu. Zraniony, rozzarowany i rozzłoszczony spalił za sobą mosty, całując ją i przyciskając do piersi.

Śmiało badał jej usta, a potem wsunął rękę pod szlafrok, by ująć nagą pierś. Mercy zadrżała, ścisnęła w palcach czarną bawełnę jego koszuli. Mimowolnie drżała pod wpływem dotyku jego dłoni.

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Zapłonął w niej ogień niepohamowanej namiętności. Wszelkie tłumione emocje, kompleksy i lęki nagle pierzchły, bo rozbudził się w niej temperament.

Travis przycisnął ją plecami do kuchennego blatu, szlafrok zsunął się z jej ramion, gdy nagle zadzwieczał telefon.

- O Boże, Mercy! - szepnął,

Palce, które jeszcze przed chwilą gładziły jego włosy, teraz zacisnęły się kurczowo.

- Przestań.

Uwolnił ją, cofnął się, unosząc ręce. jak przestępca przyłapany na gorącym uczynku. Odsunęła się i okryła szlafrokiem. Zobaczył w jej oczach łzy i poczuł ogarniające go wzruszenie..

- Mercy...

- Niech cię diabli, Travis. - Telefon dźwięczał natrętnie, niemal zagłuszając jej słowa. - Nie miałeś prawa... Nie czuję... Tak mnie rozebrać, a niech cię.

Nie... Wiedział, że nie miał do niej żadnych praw, ale wyczuwał, że swój gniew kieruje nie na niego, lecz przeciwko sobie. Ale jak to możliwe?

Wyciągnął rękę.

- Skarbie, nie ma nic złego w tych odczuciach...

Wyprostowała się, ignorując jego gest, i spojrzała na niego

łodowato.

- Typowa małomiasteczkowa mentalność. Dzięki Bogu wydostałam się stamtąd i nie mam zamiaru wracać. Nie chcę ciebie. Odejdź i zostaw mnie w spokoju, do diabła!

Podniosła słuchawkę nie milknącego telefonu, odwróciła się do niego plecami i warknęła.

- Tu doktor Holt.

Travis uznał, że zasłużył na tę bolesną odprawę. Tępgłowy dureń. Teraz naprawdę wszystko popsuł. Człowiek z odrobiną przyzwoitości nie miał innego wyjścia, jak podwinąć pod siebie ogon i zniknąć tak, jak, Mercy tego żądała, Próbował sobie przypomnieć, gdzie położył kapelusz, gdy nagle Mercy jęknęła i zbladła.

- Co? Mamo, mów wolniej, nie... - Palce jej pobieleły od ściskania słuchawki.

Travis zmarszczył brwi i podszedł bliżej, bezwstydnie podsłuchując. Słyszac jego kroki, uniosła głowę, ale, oszołomiona, patrzyła, jakby go nie widziała.

- Ojciec ma zawał? Doktor Hazelton w szpitalu w Flat Fork. Tak, mamo, zrozumiałam. Już jadę.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Jesteśmy już prawie na miejscu. Zatrzymaj się najpierw do domu?

Pytanie to wyrwało Mercy z mrocznych głębin zamyślenia, gdzie skryła się podczas dwugodzinnej piekielnej podróży do Flat Fork. Zmarznięta, otuliła się wełnianych płaszczem i z zaskoczeniem spostrzegła, że mijają już przedmieścia.

Przed nimi wyrósł piętrowy dom, w którym się wychowywała. Nawet w mroku wyglądał imponująco, z długim podjazdem i dwoma akrami zadbanego terenu. W jednym czy dwóch oknach jarzyło się światło, ale dom nie witał jej ciepłem. Jak zwykle.

Zerknęła szybko na posepnego mężczyznę przy kierownicy i drżącą ręką odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

-Nie. Jedź prosto do szpitala.

Travis nie odpowiedział, przyspieszył tylko i pomknął ulicą:

Mercy spojrzała przez szybę i zauważyła, że niewiele zmieniło się we Flat Fork od czasu jej zeszłorocznej wizyty. Kościół metodystów z czerwonej cegły wznosił się dumnie na rogu, a dalej, pośrodku placu, górował nad całym miasteczkiem budynek sądu, gdzie jej ojciec miał swój gabinet.

Ojciec. Drgnęła, przełknęła ślinę: przestraszona córka walczyła w jej umyśle z doświadczonego lekarzem.

Poczuła dłoń na ramieniu. Doceniła pocieszający uścisk.

- Będziemy tam za chwilę.

- Tak. Dziękuję. - Głos miała drżący, a ciało zeszywniało tak, jakby miało rozpaść się pod dotykiem Trvisa.

Miało? Z trudem opanowała histeryczny wybuch śmiechu. Już się rozpadło, poddało, niewiele brakowało, a oddałaby się Travisowi we własnej kuchni. Nawet teraz, przerażona chorobą ojca, czuła bezwstydną żar, pamiętała dotyk umięśnionego ciała, doświadczony dłonie, pieszczoty, zachłanne usta.

Co by się stało, gdyby nie ten telefon? Zadygotała. Travis rozbudził w niej pragnienia, które uważała za pogrzebane wraz z pierwszą miłością i rozbitym małżeństwem. A że był to Travis, którego traktowała jak brata, dręczyło ją poczucie winy. Miała ochotę go zabić.

Wszystko się zmieniło, legło w gruzach. Przyjaźń, która ich łączyła, przestała istnieć. I za co to wszystko? Za kilka chwil rozkoszy? Jak mógł jej to zrobić, im obojgu, po tym jak zapewniał, że ceni ich dawną przyjaźń?

Samolubny drań. I życzliwy przyjaciel.

Człowiek, który po jednym spojrzeniu na jej poszarzałą twarz objął dowodzenie w typowo męski, spokojny sposób, który ją doprowadzał do wściekłości, choć jego dotyk przynosił ulgę. Odwiódł ją od zamiaru, by jechała sama, potem kazał się spakować, a on zadzwonił do jej przełożonych. „Tak, to nagła sprawa, i nie, nic nie mogą pomóc. Tak, będzie informowała szpital, i nie, proszę nie liczyć na doktor Holt w ciągu najbliższych kilku dni”.

Oczywiście sprawa była nagła, i chociaż Travis, nie zostawił jej wyboru, rozsądek nakazywał ustąpić. Przyjęła zatem ten milczący rozejm. Ale są pewne granice... i choć z porażającą łatwością zdołał zburzyć wszelkie bariery, coś takiego nie może się jej już przydarzyć. On musi to zrozumieć. Była

pewna, że gdy dokładnie mu to wyjaśni, poszuka sobie innej dziewczyny.

Travis wjechał furgonetką w bramę szpitala Flat Fork. Niśka budowla z szarej, cegły mieściła pięćdziesiąt łóżek. Szpital zajmował się tylko podstawowymi potrzebami społeczności, poważniej chorych przewożono do szpitala w Fort Worth. Nad podwójnymi szklanymi drzwiami palił się neon z napisem: Izba Przyjęć.

- Jesteśmy.

Lecz Mercy wysiadła już z furgonetki. Stwierdziła, że drzwi szpitala są zamknięte, i rozzłoszczona uderzyła pięścią w szkło.

- Spokojnie, skarbie. - Travis stanął przy niej i nacisnął przycisk dzwonka. Gdzieś w głębi budynku rozległ się brzęczyk. - Zamykają szpital po godzinach odwiedzin.

- Dobrze, że znasz się na tym - mruknęła, spoglądając nerwowo przez szybę na zbliżającą się pielęgniarkę.

Uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami.

- Powinienem. Bywałem tu tak często, że mam niżkę u doktora.

Na wspomnienie o jego niebezpiecznym zawodzie poczuła, że żołądek zaciska się jej ze strachu. To ją zirytowało. Co ją obchodzi, że Travis ryzykuje życie? Próbowała przemówić mu do rozsądku, ale bez skutku. Jeśli woli być durniem, to jego sprawa i kolejny powód, by unikać zbyt bliskich z nim związków.

Krępa pielęgniarka, której twarz wydawała się Mercy jakby znajoma, odsunęła zasuwkę i otworzyła drzwi.

- Jesteście. Doktor przypuszczał, że niebawem się zja-

wicie.

Mercy zawahała się.

- A... tak. Jestem córką sędziego Holta.

- Oczywiście, Mercy. Pamiętasz mnie chyba? Jeanne Potter. - Prowadziła ich jasno oświetlonym korytarzem, a jej miękkie buty poruszały się bezszelestnie na gładkich kafelkach.

Trudno powiedzieć, by Mercy ją pamiętała, ale każdy w okręgu znał sędziego i jego rodzinę. Uśmiechnęła się z trudem.

- Oczywiście, Jeanne. Przepraszam, jestem podenerwowana.

- Nic dziwnego. Twój tata leży w dwadzieścia trzy. - Przy dyżurce wskazała im dalszą drogę. Skinęła głową Travisowi.

- Jak leci?

- Nie narzekam. Ross w porządku?

- Plecy mu dolegają, ale przeżyje. Dzięki, że pytasz.

Travis prowadził Mercy w stronę sali, na której leżał jej ojciec. Dodał jeszcze, zwracając się do Jeanne:

- Samowi naprawdę podobały się te cielaki. Powiedz Rossowi, żeby zadzwonił do mnie za parę miesięcy, to pogadamy o interesach.

- Jasne.

Swoboda Travaisa w rozmowie z Jeanne powiększyła tylko poczucie niezręczności, nawet alienacji Mercy. Nigdy nie czuła się dobrze jako gwiazda towarzystwa Flat Fork. Czasami jej sztywność była uznawana za zarozumiałość i arogancję. Ciężko pracowała, by pokonać te cechy jako lekarka. Pacjenci uznawali ją za osobę pełną ciepła i opiekuńczą. Jednak dziś, ledwie' przekroczyła granice okręgu, znów odezwały się

w niej dawne kompleksy. Dzięki Bogu, że nie musi tkwić we Flat Fork.

- To tu. - Travis wskazał na drzwi.

Mercy zatrzymała się, odetchnęła głęboko i pchnęła drzwi. Travis wszedł za nią. Monitory popiskiwały cicho przy nieruchomej postaci leżącej w łóżku. Siedząca obok drobna kobieta o srebrnoblond włosach obejrzała się, zerknęła z ciekawością na Trávisa i wstała.

- Mercedes. - Elegancko uczesana i ubrana, Joycelyn Holt miała twarz ściągniętą niepokojem. Objęła swoją jedyną córkę.

- Mamo. - Mercy poczuła, że coś ściska ją w gardle. Joy odsunęła się i spojrzała na nią uważnie.

- Musisz coś zrobić z włosami. Cieszę się, że już jesteś.

- Jak on się czuje?

- Wolałbym, żebyście nie rozmawiały o mnie, jakbym już leżał w trumnie - rozległ się zgryźliwy głos z łóżka. - Jeszcze nie umarłem.

- Zrzędzi-westchnęła Joycelyn.

To dobry znak. Mercy podeszła do ojca. Zaskoczyła ją szara cera i płytki oddech pod maską tlenową, ale zmusiła się do uśmiechu. Wzięła jego dłoń i odruchowo odszukała puls.

- Cześć, tato. Widzę, że jesteś jak zwykle nieznośny.

- Dzień dobry, pani doktor. - Oparty o poduszki, Jonathan Holt uśmiechnął się krzywo. - Przyszłaś zmierzyć mi temperaturę?

- Co tylko zechcesz. Jak się czujesz?

- Jak wypchane prosię - burknął. Siwe brwi były jak zawsze nastroszone. Włosy układały się gładko, przyklejone potem do skóry. - Ten przekłety Hazelton Chciał mnie zmie-

nić w poduszkę do szpilek. Cieszę się, że ty się mną zajmiesz. Słuchaj, czy możesz mnie stąd wyciągnąć?

- Jonathan - westchnęła znowu żona. - Proszę cię.
- Gdy zobaczę twoją kartę... - odparła ostrożnie Mercy.

Doktor Eugene Hazelton wpadł do pokoju jak tornado. Za nim wkroczyła Jeanne Potter ze stosem kart pacjentów. Potężnie zbudowany, łysiejący, ale wciąż pełen wigoru Hazelton zerknął na kowboja przy drzwiach, zatrzymał się i wyciągnął rękę.

- Travis King. - Potrząsnął dłonią. - Jak się masz.
- Świetnie.
- To z pewnością ciekawa odmiana. - Hazelton zachichotał. - A co robisz w tej głuszy?

Travis wzruszył ramionami.

- Podwoziłem Mercy do szpitala.
- To bardzo miło z pana strony, panie King - wtrąciła Joy.

Mercy skrzywiła się, słysząc oficjalny ton matki, przypominający, że Kingowie nie należą do grona, z którymi Holowie utrzymują kontakty. Ale Travis skinął głową.

- Chętnie pomogłem, proszę pani. Wyjdę na zewnątrz, dopóki... - Pochwycił spojrzenie Mercy. - Zaczekam na ciebie - dodał i zniknął w korytarzu.

Mercy poczuła rumieniec na policzkach. Inni patrzyli na nią zaciekawieni. Z wymuszonym ożywieniem zwróciła się do lekarza:

- Jaki jest stan mojego ojca?

Po dziesięciu minutach wraz z doktorem Hazeltonem i Jeanne wyszła na pusty korytarz. Lekarz poklepał ją po ramieniu.

- Rano zobaczymy, co się dzieje. A tymczasem spróbuj

przekonać Joy, żeby trochę odpoczęła.

- Dobrze. Dziękuję, doktorze. - Przygryzła wargę, patrząc, jak odchodzi do innego pacjenta, i nagle drgnęła. Obok niej niespodziewanie pojawił się Travis.

Czarny strój czynił go niemal niewidzialnym, ale Mercy nie wiedziała, czy nagła fala irytacji wypływała stąd, że ją przestraszył, czy była reakcją na jego męski magnetyzm. Co się z nią dzieje? To nieustanne wyczulenie stawało się denerwujące.

- I co z twoim ojcem? - spytał cicho Travis.

- Mogło być gorzej. - Nie kryjąc ulgi, opowiedziała pokrótce o pracy serca i o tym, że tym razem ojciec miał szczęście. Skrzywiła wargi. - To było ostrzeżenie, którego się tato nie spodziewał. Teraz będzie musiał dokonać pewnych zmian.

- To będzie trudne dla takiego człowieka jak on.

- Niektórzy tacy już są - stwierdziła, patrząc na Travisa znacząco.

Westchnęła i odgarnęła włosy. Joy będzie pewnie żądać, by spięła je z tyłu* jak musiała to robić w młodości. Pewnie się zgodzi dla świętego spokoju. Nadeszła też pora, by załatwić pewne sprawy i odesłać stąd Travisa.

- Zostanę tu dziś na noc - poinformowała. - Może się już nie zobaczymy, więc dziękuję za wszystko.

Oczy Travisa błysnęły, a głos zabrzmiał jedwabście:

- Myślisz, że tak łatwo się mnie pozbędziesz, skarbie?

Słowa zadźwięczały ostrzegawczo.

- Jestem ci wdzięczna za wszystko, ale zbyt długo już wykorzystuję twoją uprzejmość. Nie chcę cię dłużej zatrzymywać.

Zacisnął szczęki na wyraźny dowód urazy po takiej odpra-

wie. Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w drzwiach szpitalnej sali stanęła Joy. Mercy podeszła do niej.

- Mamo, może jednak pójdziesz do domu. Nie pomożesz ojcu, ślęcząc tutaj, a ja jestem przyzwyczajona do nocnej pracy.

- Wolę zostać. Poza tym w domu nie mogłabym zasnąć. Może jutro, - Ścisnęła dłoń Mercy. - Będę spokojniejsza, wiedząc, że jesteś tutaj,

- Oczywiście. Zgadzą się z doktorem, że jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, tato za dzień lub dwa może wrócić do domu. Zostanę to jeszcze ze dwa dni, zanim wrócę do Fort Worth.

- Mercedes! - jęknęła Joy z przerażoną miną. - Chyba nie mówisz poważnie!

Niepewna, jakie wykroczenie popełniła tym razem, Mercy zawahała się.

- O czym?

- Ojciec niemal umiera na zawał, a ty możesz mu poświęcić tylko parę dni? - Łzy błysnęły w niebieskich oczach Joy.

- Jesteś zupełnie bez serca.

Mercy patrzyła bezradnie na wilgotne policzki matki. Joy nigdy nie płakała. To psuło makijaż.

- Mamo, jesteś przemęczona. Chciałam tylko powiedzieć.

- Nie poradzę sobie sama. Słyszałaś, co mówił lekarz.

Ojciec będzie musiał przestrzegać ścisłych zasad, a mnie nigdy nie słucha. Będzie chciał wrócić do pracy. Ma też ten Młodzieżowy Oddział Porządkowy, och, na pewno sam się wykończy.

- Teraz przesadzasz. To nie był groźny atak i tata bez problemów powinien wrócić do zdrowia.

- Widać, jak mało go znasz. - Joy wyjęła z kieszeni elegancką koronkową chusteczkę i przetarła oczy. - Wiem, że nie cierpisz Flat Fork, pewnie nie znosisz też mnie i ojca...

- Mamo, to nieprawda - obruszyła się Mercy.

- ...ale twoim obowiązkiem jest zostać tu tak długo, jak długo będziesz potrzebna.

- No tak, ale mam pracę....liczne obowiązki.

- Pracujesz zbyt ciężko... jak twój ojciec.

- To samo próbowałem jej powiedzieć, pani Holt - wtrącił Travis. Pochwycił pełen furii wzrok Mercy i uśmiechnął się bezczelnie.

- Dziękuję, panie King - odparła Joy. - Cieszę się, że nie tylko ja to zauważyłam. Mercedes, nie pozwolę ci wykorzystywać swojej pracy jako pretekstu. Wiem, że możesz wziąć dwa tygodnie urlopu. Ale ty nie lubisz wracać do domu.

Mercy poczuła wyrzuty sumienia, to była prawda.

- Mamo, praca wymaga ode mnie wielu poświęceń.

Z pewnością nie chciałam urazić ciebie ani taty.

- Więc udowodnij to. Zostań z nami do Dnia Dziękczynienia. Czy zbyt wiele wymagam od własnej córki?

- Trzy tygodnie? - Utknąć we Flat Fork. W pułapce wspomnień, których lepiej unikać. Znowu na łasce rodziców.

Mercy stłumiła przerażenie taką perspektywą. - Mamo, nie sądzę, by było to konieczne. Oczywiście zostaną tak długo, jak będziecie mnie potrzebować, ale nie należy przesadzać.

- Teraz widzę, na czym ci naprawdę zależy: na sobie.

- Gorycz i rozczarowanie na twarzy Joy rozdarły duszę Mercy.

- Może jakoś to załatwię - mruknęła, przyparta do muru. Była wściekła, że brzmienie jej głosu przypomina skargę ob-

rażonego dziecka.

- Postaraj się - odparła surowo Joy. Odwróciła się na pięcie i weszła do pokoju.

- O Boże! - Mercy potarła skroń.

Travis pocieszająco położył jej dłoń na ramieniu.

- Nie bierz sobie wszystkiego do serca. Ona naprawdę się o ciebie martwi.

- Myślisz, że nie znam własnej matki? - Oburzona, strząsnęła jego rękę. Była gotowa wyładować się na kimkolwiek, zwłaszcza na takim człowieku, który skomplikował jej życie.

- Mam już dość twojego wtrącania się w moje sprawy, sterowania mną bez pytania o zgodę, wmanewrowywania mnie w sytuacje, których sobie nie życzę. Dostyc tego.

Rumieniec pokrył jego smagłą twarz.

- Zabawne - powiedział wolno i ponuro. - Wcześniej nie słyszałem, żebyś się skarżyła.

Wściekłość niemal pozbawiła ją tchu.

- To był błąd i doskonale o tym wiesz.

- Dałem się nabrać. Ale w końcu jestem tylko tępym pastuchem, więc zmyliło mnie to, jak jęczałaś w moich ramionach.

Rumieniec zabarwił jej policzki.

- Powiedziałam, że to był błąd i nie mam zamiaru go powtarzać, więc zatrzymaj dla siebie swoje rady, kolacje i masaże. Wierzysz czy nie, ale dobrze sobie radzę z własnym życiem i nie musi mi pomagać żaden nadęty podrywacz.

- Zapomnę o tym wszystkim, bo wiem, że naprawdę martwisz się o ojca - odparł Travis.

Jego wyrozumiałość sprawiła, że Mercy poczuła się nie-swojo, co zniszczyło resztki jej samokontroli.

- Posłuchaj no, nie życzę sobie dalszych przysług! Dostałam swoje i już mi się robi od tego niedobrze.

Wykrzywił wargi i zmrużył ciemne oczy.

- To mi się właśnie w tobie podoba, Mercy. W jednej chwili jesteś słodka jak miód, a w drugiej wściekła jak grzechotnik.

- Zachowaj takie uwagi dla swoich pańienek -syknęła.

- Ponieważ wyraziłam już wdzięczność za podwiezienie mnie do szpitala, może wreszcie wyniesiesz się stąd, zanim powiem coś, czego naprawdę będę żałowała.

- Wyniosę się stąd, jeśli naprawdę tego chcesz. Ale nie zapominaj o jednym.

Z wystudiowaną bezczelnością przesunął kciukiem po jej wargach, potem musnął włosy i szyję, po czym uniósł jej twarz, jakby sugerując, by zignorowała to, co nieoczekiwanie zapanowało między nimi. Potem wypuścił ją tak nagle, że się zachwiała. Niski głos brzmiał łagodnie, a jednocześnie stanowczo.

- Jeszcze nie skończyliśmy, skarbie. Jeszcze nie.

- To wspaniały byk.

- Masz rację, współniku. - Travis patrzył z uśmiechem, jak dziewięćsetkilogramowe zwierzę w ataku wściekłości wpada między ogrodzenie. Płowożółty byk biegł truchtem dookoła, długimi rogami atakował wyimaginowanych wrogów, wzbijając chmury czerwonego kurzu.

Sam Preston oparł but o drewnianą poprzeczkę i zsunął kapelusz z czolai Angel Morales, opiekun bydła, zatrzasnął drzwi przyczepy ciężarówki ze znakiem firmowym spółki Kinga i Prestona i odjechał wraz z pomocnikami do stodoły

usytuowanej za domem. Między ranczem Prestona a terenami Trávisa, parę kilometrów na południe, spółka miała dość terenu, by utrzymać stado bydła, które mogłoby skusić każdego dostawcę byków na rodeo.

Dzięki kapitałowi Trávisa i jego umiejętnościom handlowym oraz doświadczeniu Sama w hodowli, ich najbliższy konkurent, Buzz Henry, musiał naprawdę się starać. Wprawdzie przez pierwsze lata nowa firma pewnie z trudem zwiąże koniec z końcem, jednak Travis wiedział, że wchodząc w spółkę z bratem najlepszego przyjaciela, podjął najrozsądniejszą decyzję w swoim życiu.

Szeroki uśmiech rozjaśnił surową twarz Sama.

- Piękny zwierzak. Wygląda na twardego i złego jak diabli.

-Tak, wygląda, jakby urodził się wściekły. Powinien zrobić karierę na arenie i spłodzić dla nas ładne stadko byków.

- Dzięki twojemu ciętemu językowi i talentowi do handlu. Dobra robota. - Obaj nosili koszule z długimi rękawami i kamizelki. Sam klepnął Trávisa w ramię i zmarszczył brwi, gdy współnik skrzywił się z bólu. - Zaraz, chłopie. Nie mów mi, że wypadłeś w Colorado Springs?

- Powiedzmy, że mogłem sobie oszczędzić wydatku na samolot.

- Dobrze się czujesz?

- Czym jest kolejny upadek? Przynajmniej nie wisiałem w uprzęży. Przeżyję jakoś.

Stoicyzm był niezbędną cechą charakteru ujeżdżacza byków, ale to fakt, że w zeszyły weekend jeździł jak żółtodziób, ani razu nie wytrzymał do gwizdka. Takie występy nie zaprowadzą go daleko za niecały miesiąc, podczas finału

w Las Vegas. A liczył, że znów zdobędzie tytuł i parę nagród. Gdyby szczęście mu sprzyjało, przez te dziesięć dni mógłby zarobić tyle, ile przez cały rok, a przecież potrzebował pieniędzy.

Lecz poza pustymi kieszeniami i urażoną dumą miał jedynie więcej sińców niż jeżozwierz, kolców. Plecy bolały go jak diabli, a noga drętwiała. Gdyby Mercy o tym wiedziała, spojrzalaby na niego z pogardą, i powiedziała: „A nie mówiłam?”

Do diabła, przecież to wszystko jej wina. Zadzieriała nosa. Reagowała na niego, a potem udawała obojętną - wszystko to tak go wzburzyło, że w końcu nie wiedział, z której strony byk ma ogon. Nie powinien pozwalać, by kobieta tak go zaabsorbowała.

To było niebezpieczne. I głupie. Ale nie mógł przestać myśleć o Mercy, tak jak nie mógł przestać oddychać.

- Szeryf dowiedział się czegoś o złodziejach bydła? - spytał.

- Nic nie wie, do diabła. - Sam pokręcił głową.

- Zginęły już trzy sztuki?

- Cztery. Trzy z naszego północno-wschodniego pastwiska, a jedna z twojego.

- Z mojego też? Niech to diabli!

- Angel kazał chłopcom pełnić wartę, ale niewiele to pomaga. Wystarczy przeciąć ogrodzenie, wjechać przyczepą i już znikają, przerobione na hamburgery.

Travis aż jęknął na tę myśl. Byki hodowane na rodeo były zbyt cenne, żeby kończyć na stole.

- Rany boskie, złodzieje bydła w dzisiejszych czasach... Pora przypomnieć sobie straż obywatelską, współlniku.

- Chyba masz rację. Nie stać nas na więcej takich strat. Chociaż nie wiem, dlaczego kradną właśnie nasze byki.

- Choćby dlatego, że mamy najlepsze bydło w okręgu.

- Tak. - Sam skrzywił się. - Ale czy kradnie je jakiś drań, który spłaca barowe długi, banda zabawiających się dzieciaków czy też złodziejska mafia? Tak czy siak pora z tym skończyć. Tylko że miejscowa policja nie może znaleźć niczego konkretnego.

- Dzieciaki, tak? - Travis pstryknął palcami. - Dwa razy zauważyłem smarkaczy kręcących się przy Hawkins Road, między moim terenem i ranczem Turnera. Mogli coś planować.

Sam znieruchomiał i uśmiechnął się krzywo.

- Mówisz z własnego doświadczenia, co?

- No cóż - mruknął Travis. - Kenny i ja wycieliśmy swego czasu parę numerów, ale nigdy nie kradliśmy bydła.

- Rozpoznałbyś któregoś z tych szczeniaków?

- Nie. Zanim się zbliżyłem, odjechali jakąś starą furgonetką. Tak jakby szukali kłopotów.

- Albo uciekali przed nimi - stwierdził z namysłem Sam. - Może kurator nieletnich nam pomoże. Jak ona się nazywa, Jones?

- Honey? Rudowłosa owieczka starej Sally?

- Tak, to ona. Dobrze sobie radzi z tymi smarkaczami. Chociaż miała nieraz naprawdę ciężkie przejścia.

- Może ją odwiedzimy? Powinna coś wiedzieć o tych chłopcach.

- Niezły pomysł. Szansa jest niewielka, ale to jedyny ślad, jaki mamy. - Sam otworzył drzwi i wprowadził Trvisa do swojskiej wiejskiej kuchni, w której unosiły się aromaty be-

konu i kawy. - Ale najpierw pozwól, że Loczek zrobi ci śniadanie.

- Twoja śliczna żona ma pewnie ważniejsze zajęcia niż karmienie pokiereszowanego pastucha.

- Wiesz, że zawsze miała dla ciebie miękkie serce.

Travis rzucił kapelusz na kołek i palcem przygładził wąsy.

- Nie mówiłem, że jest sprytna. W końcu wyszła za ciebie.

- To jego najlepszy manewr - zaśmiała się Roni. Ciemne loczki opadały jej na ramiona i były równie rozwichrzone jak brunatne włosy malucha, którego trzymała na ręku. Podeszła i cmoknęła Travisa w policzek. - Jak ci leci, przystojniaku? Napijesz się kawy?

- Świetnie, ślicznotko. I owszem, bardzo chętnie. - Travis klasnął i wyciągnął ręce do dziecka. - Cześć, Jessie. Chodź do wujka.

Jessie pisnęła, gdy Travis wziął ją od matki. Usiadł na krześle i huśtał dziewczynkę na kolanach. Lubił takie zabawy i pomyślał nagle, że dobrze by było mieć kiedyś własne dzieciaki. Tym, co go zaskoczyło, tak że niemal zrzucił Jessie na podłogę, był fakt, że ta kobieta bez twarzy, która pojawiała się w jego snach i marzeniach o przyszłości, ostatnio przypominała Mercy. Odchrząknął nerwowo.

Roni poczęstowała go kawą, a Sam opowiedział jej o planie Travisa złożenia wizyty. Honey Jones.

- Warto spróbować - przyznała. - Możesz podwieźć mnie do miasta? Mój wóz jest w warsztacie i właśnie dzwonili, że mogą go odebrać.

- Nie ma sprawy. - Travis uśmiechnął się, gdy Jessie poklepała go po policzku, potem zaś mocno ucałowała.

-Wiesz co, Sam? Rysują się przed tobą poważne problemy. Twoja córka już teraz całuje się z chłopakami z rodeo.

- Mam strzelbę, - Sam skrzyżował ręce na piersi. - Uważam, że przykracanie podrywaczy to robota dla ojca. Ale ciebie też raz czy dwa przepędzili. Jak więc rozumieć plotki, że uganiaś się za Mercedes Holt?

Travis spał się na te słowa.

- To zwykła przyjaźń. Akurat byłem w pobliżu, gdy jej ojciec miał atak serca. Podwiozłem ją do Flat Fork.

- Krystal mówiła mi, że doktor Hazelton wypisał już sędziego ze szpitala. Był niezdolnym pacjentem.

Travis sięgnął po kubek kawy.

- To chyba dobra wiadomość. Mercy będzie zachwycona,

- Trzeba pamiętać, że swojego czasu uganiała się za Kenym - zauważył Sam.

- To było dawno.

- Zaczekaj moment. - W oczach Sama błysnęła ciekawość. - Chcesz mi powiedzieć...

- Och, nie, do diabła! - Travis odstawił kubek. - Możesz mi wierzyć, że wtedy nigdy nie próbowałem wyrolować kumpla.

- Ale czasy się zmieniają, a tamto wydarzyło się dawno.

- Sam spojrział w oczy Roni i wzruszył ramionami.

- No dobrze. Mów, Travis - nakazała. - Co się dzieje?

Westchnął zrozpaczony i przyznał niechętnie:

- Niech mnie diabli, jeśli mam o tym pojęcie.

Sam uśmiechnął się z wyższością.

- No, no... nigdy nie widziałem Casanovy z Teksasu tak zmieszanego.

- Odczep się ode mnie, Sam - ostrzegł Travis, grożąc mu

palcem.

- Ho, ho, to poważna sprawa. - Sam jakoś się nie obraził.
 - Nie pozwól mu się zirytować, Travis - poradziła Roni.
- I nie przejmuj się. Wiesz, że wszystkie kobiety cię kochają.
Pewnie, pomyślał smętnie Travis. Wszystkie, oprócz tej jednej, która się dla mnie najbardziej liczy.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mercy spotykała się ze śmiercią i kalectwem. Radziła sobie z przerażonymi rodzicami, rozhisteryzowanymi dziećmi i aroganckimi lekarzami. Właściwie każdej nocy pewnie i spokojnie stawiała czoło trudnym sytuacjom, Więc dlaczego, pytała samą siebie, opieka nad jednym zręczliwym pacjentem przez głupie pięć dni doprowadziła ją na skraj psychicznego i fizycznego załamania?

Ponieważ chodziło o ojca, a jego zdaniem wciąż była małą dziewczynką.

Mercy westchnęła i przycisnęła do piersi brązową teczkę. Szła przez wyłożony marmurem korytarz budynku sądu. Przynajmniej upór Jonathana Holta, by dokumenty Młodzieżowego Oddziału Porządkowego nie leżały na biurku nawet minuty dłużej, dał jej jakiś pretekst, by wyjść z domu.

Jonathan powoli wracał do zdrowia, ale nie był wzorem idealnego pacjenta. Praktycznie rzecz biorąc, Mercy uciekła z domu, nie zwracając uwagi na to, że wygląda fatalnie: ubrana w luźne džinsy i bluzę, z workami pod oczyma i włosami związanymi byle jak. Joycelyn byłaby przerażona, gdyby ją zobaczyła, ale właśnie ucięła sobie drzemkę, a Daisy, wieloletnia gosposia, zgodziła się dopilnować sędziego.

Mercy skrzywiła się. Nigdy nie przypuszczała, że powrót do Flat Fork dostarczy jej tylu przyjemności. Gdy odniesie ten pakiet, może zamówi sobie w barze podwójny czekoladowy koktajl, który ona, Kenny i Travis tak uwielbiali, zanim

wszystko się zmieniło, zanim popełniła niewybaczalny błąd, podjęła decyzję, której skutki wciąż jeszcze trwały.

Nie chciała pogrążyć się w tych rozmyślaniach. Znalazła właściwe drzwi, zapukała, weszła do małego gabinetu i zniechęciła. Kobieta o włosach barwy cynamonu, z piegowatą twarzą chochlika i błyszczącymi zielonymi oczyma przysłoniętymi okularami, spojrzała na nią z nadzoru zaskazanego papierami biurka. Najbardziej niepokojące było to, że tuż obok niej siedział Travis King.,

- W czym mogę pani pomóc?- Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie.

Mercy uświadomiła sobie, że jest ona chyba nieco starsza, niż sugerują to młode rysy jej twarzy. Z pewnością była dość dorosła, by pełnić funkcję kuratora nieletnich przestępców.

- Panna Jones? Przyniosłam dokumenty od sędziego. - Położyła teczkę na biurku.

- A tak, właśnie dzwonił. Nazywam się Honey, doktor Holt.

Mercy nie mogła się oprzeć jej serdeczności.

Mnie zawsze tutaj nazywano Mercy.

- Doskonale. - Honey uśmiechnęła się promiennie. - Znasz Trayisa Kinga, prawda?

- No... tak. - Mercy wsunęła za ucho niesforny kosmyk włosów, troszkę oszołomiona entuzjastycznym przyjęciem Honey, nie mówiąc już o nieoczekiwanej obecności Trvisa.

Wstał, a ona zauważyła sztywność jego ruchów. Był potłuczony. Spojrzeli sobie w oczy i natychmiast zrozumiała, ile kosztowało go ostatnie rodeo. Miała ochotę go uleczyć, a równocześnie dać mu klapsa za to, że jest takim głupcem. Zamiast tego zacisnęła tylko wargi. Odpowiedział jej drwią-

cym uśmiechem.

Jeszcze ze sobą nie skończyli. Wspomnienie tego ostrzeżenia wzbudziło w niej dreszcz.

Honey paplała wesoło, niczego nie dostrzegając.

- Travis właśnie zgodził się użyć swojego nazwiska, by zareklamować nasze barbecue w przyszłym tygodniu.

- Barbecue? - zdziwiła się Mercy.

- Tak. I tańce. Zbieramy pieniądze dla Młodzieżowego Oddziału Porządkowego. - Spoważniała nagle, - Jest tu wielu młodych ludzi, którym przyda się pomoc: jakiś letni obóz, porady rodzinne. Pieniądze na takie działania umożliwią sprowadzenie na dobrą drogę tych, którzy niechcący zesłali na manowce. Teraz, kiedy do sprawy włączył się mistrz świata w ujeżdżaniu byków, bilety pójdą jak świeże bułeczki.

- Nie miej wielkich nadziei, skarbie - mruknął Travis, wciskając kciuki za pas. - Przecież jestem zwyczajnym, tępym pastuchem.

Mercy poczuła, że fala żaru zalewa jej policzki. Wiedziała, że świadomie cytuje ostatnią ich rozmowę.

- Bzdura - stwierdziła Honey. - Jesteś zbyt skromny. Wiem, że z tobą odniesiemy sukces. Powiesz sędziemu, Mercy? Będzie bardzo zadowolony.

- Tak, oczywiście, powiem. Mówiłaś, że dzwonił? - Pokręciła głową. - Co za człowiek. Powinien odpoczywać.

- Dobrze się czuje? - spytał cicho Travis.

- Dość dobrze. Ale jest niecierpliwy. To musi trochę potrwać.

- Nie zazdroszczę ci przekonywania o, tym sędziemu. - Honey zaśmiała się. Odłożyła jakieś papiery i wstała.

- Zejdę na dół i skopiuję ten program, żebyś go mogła zabrać. Może sędzia przejrzy i coś doradzi. To go zajmie na jakiś czas.

- Dzięki. To dobry pomysł - zgodziła się Mercy.

Gdy Honey zatrzasnęła za sobą drzwi, w pokoju zapadła niezręczna cisza.

- Wyglądasz na zmęczoną, skarbie.

- Jak miło, że to zauważyłeś. - Usłyszała sarkastyczny ton we własnym głosie i westchnęła ciężko. - Przepraszam cię, Travis. Sama nie wiem, czemu tak reaguję. Chciałam cię przeprosić za tamtą noc. Powiedziałam kilka rzeczy... - Bezradnie rozłożyła ręce.

- Oboje powiedzieliśmy.

- Jesteśmy jak olej i woda. Nie możemy się połączyć.

Więc nie powinniśmy. - Wzruszyła ramionami. - Myślę, że tak będzie lepiej.

- Dla kogo? - Ostrożnie oparł się biodrem o brzeg biurka.

- Dla nas obojga - zachnęła się.

- Powiedziałbym, że to różnica opinii.

- Travis...

Przez drzwi wsunęła się kędzierzawa głowa.

- Hej, mistrzu, jesteś gotów? O rany, Mercy Holt, niech mnie diabli porwą.

- Roni Daniels! Miło znowu cię widzieć.

Kobiety uśmiechnęły się do siebie i uścisnęły. Znały się z czasów dzieciństwa, gdyż Roni praktycznie wychowywała się z chłopcami Prestonów.

- Teraz już nazywam się Preston - zaśmiała się Roni. - Możesz w to uwierzyć? Ja i Sam.

- Gratuluję. Travis mi powiedział.

- Przechwalał się pewnie - zakpiła Roni. - Chociaż miał coś wspólnego z tym, że Sam przejrzał na oczy. Nie pierwszy raz bawiłeś się w swata, co, Travis? - Roni spojrzała na zegarek, nie zauważając rumieńca Mercy. - Musimy iść do pośrednika, zanim zamkną biuro...

- Słusznie. - Wstał szybko.

Honey wbiegła do biura, skinęła głową Roni i wręczyła Mercy plik papierów. - Proszę.

- Musimy się umówić na spotkanie, póki tu jesteś... żeby nadrobić stracone lata - powiedziała na pożegnanie Roni. - Zadzwoń i umówimy się, dobrze?

- Oczywiście. - Mercy kiwnęła głową, wiedząc, że nic z tego nie będzie,

- I koniecznie musisz przyjść na barbecue- dodała Honey.— Jeśli sędzia nie będzie mógł wyjść z domu, zostaniesz jego oficjalnym przedstawicielem.

Mercy starannie złożyła papiery i wsunęła je do torebki.

- Chciałabym, ale wolę niczego nie obiecywać. Ja... może nie zostanę tu tak długo.

- Myślałem, że zostaniesz tu do Święta Dziękczynienia - wtrącił surowo Travis. - Tylko nie mów, że nie dadzą ci urlopu.

Dyrekcja szpitala okazała się całkiem wyrozumiała i Mercy bez trudu mogła otrzymać urlop, ale nie miała zamiaru o tym opowiadać. Matka dostatecznie na nią naciskała, nawet bez pomocy Trávisa.

- Trudno w tej chwili coś planować -oznajmiła chłodno.

- Ale nie mogę siedzieć tu bez końca. Rozumiesz chyba Honey?

Rudowłosa skrzywiła się z rozczarowaniem, ale kiwnęła

głową

- Daj znać, gdyby twoje plany się zmieniły.
- Lepiej się pospieszmy - rzuciła Roni. - Na razie, Mercy. Travis wyszedł za nią. Spojrzał jeszcze w oczy Mercy i wymruczał komentarz, przeznaczony tylko dla niej:
 - Jak na inteligentną kobietę, mnóstwo czasu poświęcasz na unikanie prawdy.
 - To znaczy? - Uniosła głowę.
 - Choćbyś nie wiem jak próbowała, skarbie, nie możesz wiecznie uciekać.

Mercy raz jeszcze zajrzała do sypialni ojca i uspokoiła się, że zasnął wreszcie po wieczorze, który nadszarpnął jej nerwy. Potem wysłała Joycelyn do łóżka z zimnym kompresem. Idąc po miękkim dywanie korytarza na piętrze, dotarła do własnego pokoju, który matka urządziła w sposób, jej zdaniem, właściwy dla córki najważniejszego człowieka w okręgu: w stylu kobiecego buduaru, pełnego różowych tapet i wiśniowych mebli. Mercy nie znosiła go, taka pstrokaczna nie uspokajała jej rozdygotanych nerwów.

Na szczęście jedyne światło padało z wiktoriańskiej lampy, pozwalając na ignorowanie ciepłych barw. Mercy rozmasowała sobie szyję i podeszła do podwójnego okna, wychodzącego na boczne podwórze. Czując się niczym więzień, wyjrzała w ciemność Teksasu.

Chociaż nie chciała tego przyznać, Travis miał rację. Nie powinna już uciekać.

Stosunki z rodzicami zawsze wahały się między buntem a posłuszeństwem. Wciąż starała się spełnić ich oczekiwania, dopuszczała, by kompleksy i poczucie winy stawiały ją w roli

dziecka podległego wszystkim wychowawczym manipulacjom. Wprawdzie rodzice byli dumni z jej dokonań, ale wciąż lekko zdumieni wyborem drogi życia. Bardziej poruszyła ich jej decyzja o rozpoczęciu studiów medycznych niż rozwód. Lepiej było, gdy zachowywała w stosunku do nich dystans, choć naprawdę tego żałowała,

Niestety, w obecnej sytuacji było to niemożliwe. Ten fakt, połączony z koniecznością porzucenia pracy właściwie z dnia na dzień i rozterki związane z Travisem, wzbudziły w niej uczucie, że jest zamknięta w szybkarze z uszkodzonym zaworem, który lada chwila wybuchnie.

Przycisnęła dłoń do zimnej szyby i zmarszczyła czoło. Wciąż to samo, odkąd pamięta: bunt narastający w niej aż do nieuniknionej eksplozji, popychający do działań i decyzji, których potem żałowała. Musiała walczyć, by opanować te reakcje i udało jej się wreszcie tego dokonać, choć sporo ją to kosztowało. Uznała jednak, - że warto ponieść pewne koszty dla zdyscyplinowania ducha.

To był drugi powód, dla którego nie chciała, by sprawa z Travisem. trwała dalej. Od lat nikt nie doprowadził jej do utraty opanowania. Tak, próbowała uciekać, była przerażona. Zbyt wiele trudu kosztowały ją zwycięstwa, żeby jedna chwila namiętności i szaleństwa zakłóciła jej ustabilizowane życie. A jednak w chwilach takich jak ta rozpalał się w niej niepokój. Czuła się jak dziki mustang i traciła rozsądek.

Zgasiła światło. Zaczęła zdejmować bluzę, gdy usłyszała ciche stukanie w okno, Znieruchomiała, nasłuchując. Rozległo się następne stuknięcie i echo cichego gwizdu z dołu...

Wspomnienia sprawiły, że odsunęła firankę i wychyliła się przez okno.

- Kto tam?
- Cześć, skarbie.

Mimo bladego światła latarni na podwórzu mroczna postać była prawie niewidoczna.

- Travis. - Ileż to razy przychodził tak do niej ukradkiem, przynosząc wiadomości czy pomagając wymknąć się na spotkanie. Czasem po prostu siedział obok niej w garażu, by mogła, jak przyjacielowi, opowiedzieć o swoich problemach. Odpowiedziała konspiracyjnym szeptem, jak za dawnych lat:

- Czego chcesz?
- Czy Mercy ma ochotę wyjść, żeby się zabawić?

Ten proszący ton wywołał uśmiech. Wychyliła się na zewnętrzny parapet. Chłodny wiatr spletał jej włosy.

- Zwariowałaś?

- Zarabiam na życie, ujeżdżając byki. Czego się spodziewasz?

- Jesteś nieznośny.
- Więc zrób przyjemność staremu przyjacielowi. Powiedziałaś, że nie zostaniesz tu długo. Spotkaj się ze mną.

Wiedziała, że nie powinna ulegać pokusie, ale czuła się stłamszona i nie mogła odrzucić tej oferty, Tylko na chwilę, obiecała sobie, przez pamięć na dawne czasy, Chwyliła umocowaną do ściany drewnianą ramę, przełożyła nogę przez parapet i zsunęła się po delikatnej, oplecionej bluszczem konstrukcji.

- Mercy, co do diabła... -Travis pochwycił ją, kiedy krata pękła i Mercy niemal potoczyła się w krzaki.

Na jego twarzy pojawił się wyraz lęku.

- Na Boga, kobieto, nie o to mi chodziło. Mogłaś sobie skrócić kark. Jesteś za stara na takie zabawy.

Mercy pokręciła głową, wypełniona poczuciem tryumfu i beztroskiej euforii.

- Najwyraźniej nie. Zresztą kto dał ci monopol na wariackie ryzyko?

- To nie to samo.

- Akurat – zaśmiała się. -I mów ciszej, bo obudzisz rodziców. Chodźmy.

Wzięła go za rękę i pobiegła do dużego garażu, który kiedyś był stajnią. Wciągnęła go do mrocznej budowli, wypuściła jego dłoń i przeszła obok samochodów na koniec pomieszczenia, gdzie, okryty brezentową płachtą, stał pojazd.

- Co tu robisz, Travis?

- Sam nie wiem - przyznał, idąc za nią. - Może pora pożegnać niektóre duchy.

Mercy ogarnęła panika. Nie, nie potrafi tego zrobić, nie dzisiaj. Sięgnęła dłonią i szarpnęła sznureczek przymocowany do pojedynczej żarówki. Oboje zamrugali powiekami w nagłym blasku. Jednym ruchem ręki ściągnęła brezent.

- Pamiętasz to?

- Trudno zapomnieć. - Spoglądał na wciąż błyszczący czerwony lakier na jej starym kabrioletcie. Dach był odsunięty, skórzana tapicerka sprężysta, a chromowane listwy lśniły. Travis uśmiechnął się smutno. - Wiele wspomnień wiąże się z tym autem i jego tylnym siedzeniem, co, Mercy?

Te słowa zirytowały ją. Ale nie dała mu poznać, że uraził ją tymi domysłami. Zaciśnęła zęby, otworzyła drzwiczki i wsiadła. Kluczyki były pod przednim siedzeniem, jak zawsze, silnik zapalił natychmiast.

- Jedziesz? - Spojrzała wyzywająco na Trávisa.

- Dokąd?

- Czy to ważne? - Wzruszyła ramionami i włączyła wsteczny bieg.-Jak chcesz.

- Zaczekaj!

Wskoczył na miejsce pasażera. Mercy wycofała wóz z garażu i ruszyła przed siebie. Na głównej drodze wcisnęła pedał do dechy i wyjechała z miasta.

Wiatr targał jej włosy, chłodził policzki, ale była zbyt pobudzona, zbyt swobodna, by się tym przejmować. Wszystko przepływało obok, migwały rozmazane plamy drzew, pastwisk i pól. Mocno ścisnęła kierownicę, świadoma, że Travis marszczy brwi, przytrzymując rondo kapelusza. Wreszcie chwycił ją za ramię i krzyknął, by usłyszała go poprzez warkot silnika i wycie wiatru.

- Przyhamuj to pudło. Co za diabeł w ciebie wstąpił?

- To prawdziwa ja, taka, jaką pamiętasz! - odkrzyknęła.

-Diablica:

- Na miłość boską...

Patrzyła przez przednią szybę na światła padające na czarny asfalt. Kropla deszczu uderzyła o szybę, potem następna. Nie zwolniła.

- Nigdy z nim nie spałam.

- Co?..

- Z Kennym. My nigdy,

Jakiś ruch... szpiczasty ryj, twarda skorupa, długi ogon... Mercy skręciła gwałtownie. Opony zapiszczały na mokrym poboczku, kiedy wymijała pancernika, szukającego jedzenia na środku szosy.

Travis zaklął zapierając się rękami o deskę rozdzielczą.

- Zwolnij!

Przypomniała sobie, że to on prowadził tamtej strasznej

nocy. Zawstydzona i skruszona, zwolniła pedał gazu, skrzyła i zaparkowała na trawiastym poboczu.

- Przepraszam. - Przysunęła się do Trávisa. Zimny deszcz ląnął mocniej, jego krople moczyły jej włosy spływały po twarzy, mieszając się ze łzami. - O Boże, Travis.

- Wielkie nieba, kobieto. - Przycisnęła twarz do jego ramienia. - O co chodzi? - szepnął cicho.

Ale jak mogła mu wytłumaczyć to, czego sarna nie rozumiała?

- Obejmij mnie, wymamrotała czując na wargach szorstką od zarostu krzywiznę jego szczęki.

Uściskał ją mocno, tuląc do piersi. Po długiej chwili, kiedy przestała dygotać, odsunął się i spojrzał jej w twarz.

- Przemokniemy zupełnie. - Woda kapała mu z ronda kapelusza. - Samochód też.

Wybuch bezgłośnego śmiechu zaskoczył ją samą. Zlizwała krople z warg.

- Owszem. Bo w nim para durniów.

-Moglibyśmy rozłożyć dach.

- Rekord to osiem sekund, kowboju.

Z piskiem wyskoczyła z samochodu, odciągnęła kłamy, chwyciła czarny materiał i szarpnęła mocno. Travis robił to samo po drugiej stronie. Srebrzyste strumienie deszczu zmieniły włosy Mercy i wąsy Trávisa w obwisłe mysie ogonki.

Piszcząc, kiedy zimny deszcz spływał jej po plecach i chichocząc na widok niechętnej miny Trávisa, Mercy wybuchnęła radosnym śmiechem. W końcu zaraziła nim Trávisa.

Brezentowy dach opadł wreszcie na miejsce i oboje zajęli przednie siedzenia, ślizgając się na mokrej skórze, machając rękami i śmiejąc się do rozpuku.

- Żadne z nas - wysapała Mercy - nie ma dość rozsądku...
- ... żeby schować się gdzieś przed deszczem - dokończył

Travis.

Uśmiechając się, starł wilgoć z twarzy i wąsów. Mercy próbowała złapać oddech. Spojrzał na nią z czułością i musnął palcami mokry policzek.

- Miło słyszeć, jak znów się śmiejesz, skarbie.
- To wspaniałe uczucie.

Krople deszczu bębniły w dach. Mercy spojrzała na Traviisa poprzez przemoczone kosmyki włosów, nie dbając nawet, że uśmiecha się głupkowato. Ależ jej brakowało tego braku rozsądku i chwil dobrej zabawy, jak zazdrościła Travisowi tej zdolności cieszenia się. Patrząc w jego figlarne brązowe oczy zapragnęła...

Nagle poczuła straszliwy chłód.

Travis zmarszczył czoło.

- No, dobrze, przesuń się.
- Co? Zaraz! Przeniósł ją na miejsce pasażera, a sam wcisnął się za kierownicę. - O co chodzi, kowboju?
- Chodzi o to, że nie pozwolę na to, żebyś dostała zapalenia płuc. Więc spokojnie, pani doktor, kawaleria w drodze. I tym razem ja prowadzę.

Travis dorzucił kolejną szczapę do kominka z surowego kamienia, Wsunął kciuki za pasek spodni i spojrzał na pomarańczowe płomienie obejmujące stos drzew. Mokry ręcznik zwisał mu na nagich ramionach. Był bosy, ale przynajmniej dżinsy miał suche. Rzucił okiem w stronę łazienki, gdzie przebierała się Mercy. Skromny dom na jego ranczo nie był tak komfortowy jak rezydencja Holtów, ale po tej dzikiej

przejażdżce mógł myśleć tylko o suchym ubraniu.

Nie, to nieprawda. Nie mógł zapomnieć o jej wyznaniu. Ona i Kenny nie byli kochankami. Po tylu latach nie powinno to mieć znaczenia, ale miało. Zresztą, do diabła, jej wyznanie nie robiło właściwie żadnej różnicy. Przecież Mercy była mężatką! Co do jego własnych związków, to zaliczył już zbyt wiele kobiet. A jednak dziwną satysfakcję budziła w nim świadomość, że ona i Kenny nie zbliżyli się do siebie. Zresztą ciekawe, dlaczego.

- Miło wiedzieć, że masz przynajmniej jeden ciuch, który nie jest czarny.

Travis odwrócił się i przełknął ślinę. Mankiety starej flanelowej koszuli sięgały Mercy do czubków palców, a poły do kolan. Włożyła parę jego białych frotowych skarpet i zaczęła mokre włosy za uszy. Odchrząknął z pewnym wysiłkiem.

- Czasami zmieniam kostium. Cieszę się, że ta koszula ci się podoba.

Podeszła do ognia. Poczował aromat swojego szamponu, lecz nagle ten zapach zmienił się w coś nieprawdopodobnie kobiecego,

- Wciąż masz sine wargi. Napijesz się brandy na rozgrzewkę?

Zerknęła na kubek, który odstawił na rzeźbioną dębową półkę.

- Może być to, co ty pijesz.

- Gorąca czekolada.

Skrzywiła się.

- Umiesz cieszyć się życiem, kowboju.

- Już dawno zrezygnowałem z mocnych trunków, - Oboje wiedzieli, dlaczego. Pochwyciła jego spojrzenie, po czym

odwróciła głowę, - Masz - powiedział - weź to.

- Tak, ale...

Weisnął jej kubek do rąk, przyciskając chłodne palce do ciepłej ceramiki. Skóra mrowiła go od tego dotyku.

- Należę sobie do drugiego - rzucił chrapliwie.

Niebieskie oczy obserwowały go uważnie znad krawędzi kubka. Wypiła gęsty płyn, potem czubkiem języka zlizwała pianę z górnej wargi. Travis poczuł ucisk w żołądku. Czy ona świadomie go prowokuje, czy on jest tak jej spragniony, że każdy gest lub ruch tej kobiety doprowadza go do szaleństwa?

- Ładnie mieszkasz. - Rozejrzała się wokoło.

- Odpowiada mi. - Zielone skórzane sofy z mosiężnymi okuciami i ciężkie fotele były bardzo wygodne, a spartański wystrój dawał poczucie stabilności i porządku. Co nie znaczy, że kobieca ręka nie mogłaby czegoś zmienić, pomyślał. Gdyby to była właściwa kobieta. - Nie spędzam tu wiele czasu.

- A co właściwie trzyma cię we Flat Fork? - parsknęła.

- Dom. Bogobojni i ciężko pracujący ludzie, miejsce, gdzie czuję się wolny. - Chwycił brzegi ręcznika i zmarszczył czoło. - Sam pilnuje interesów, mam też ludzi, którzy pracują na rancho, kiedy wyjeżdżam w trasę, ale żał mi codziennych kowbojskich zajęć. No i przyjemności gonienia złodziei.

- Złodziei?

- Tak. Ostatnio zniknęło parę sztuk najlepszego bydła.

Może to sprawka jakichś smarkaczy. - Wzruszył ramionami.

- Dziś rano próbowałem pogadać o tym z Honey.

- Więc są jednak jakieś problemy w tym rajku. - W jej głosie zabrzmiał ton zgryźliwości.

- Ale przyznaj, że nie było to złe miejsce na dorastanie. Potrzęsnęła głową:

- Jak mawiają niektórzy, wszystko jest względne.
- I byłoby to niezłe miejsce do założenia rodziny. - Zaskoczył go nieco jej zdumiony wzrok. - No wiesz, dwójka dzieciaków i pies. Myślałaś kiedyś o tym, Mercy?
- Nie - odparła chłodno. Oddała mu kubek, oczy jej błysnęły. - Dolejesz mi jeszcze czekolady? Mam dziś ochotę na odrobinę ryzyka.
- Zalewasz robaka? Uwierz mi. To nie działa. - Wyjął kubek z jej chłodnych palców i odwrócił się. - Przyniosę czekoladę.
- Krzyknęła nagle tak ostro, że znieruchomiał. Nim zdążył się obejrzeć, podbiegła do niego i zerwała ręcznik z ramion. Dłońmi przycisnęła sinoczną plamę na lewym boku.
- Wielki Boże. Załatwiłeś to sobie w Colorado Springs? Zamarł w bezruchu i patrzył prosto w ogień, zaciskając zęby.
- To znaczy, oprócz kompromitacji? Tak.
- Co się stało? - Przesunęła palcami po skórze, wywołując falę bólu, której nie zdołał ukryć.
- Jeździłem jak żółtodziób i tyle. Myślam, byłem gdzie indziej.
- To groziło perforacją nerek - rzuciła gniewnie.
- Nic mi nie jest - odparł ponuro.
- Nie było krwi? A co...
- Do licha! - Odwrócił się, chwycił jej dłonie i przycisnął je do owłosionej piersi. - Powiedziałem, że nic mi nie jest.
- Szeroko otworzyła oczy, widząc jasną szramę, biegnącą od obojczyka do pasa. Uniosła głowę i spojrzała na niego gniewnie.
- Jesteś nie tylko cholernym durniem, ale i kłamcą.

- Oszczędź mi wykładu, pani doktor - burknął. - Trujesz, jak przy pacjencie.

- Zobaczymy, co można z tym zrobić. - Z chytrym uśmiezkiem pochyliła się i musnęła wargami ranę.

Podskoczył jak oparzony.

- Co, do diabła, wyprawiasz..

- Pocałunek pomaga.

Tym razem, kiedy jej usta dotknęły piersi, poczuł sunący po skórze wilgotny język i fala gorąca ogarnęła jego ciało. Zaklął.

- Niech to piekło pochłonie, kobieto, lepiej żebyś wiedziała, jaką grę zaczynasz.

Oddychając nierówno, stanęła na palcach i śmiało pocałowała go w usta.

- Zamknij się. -I pocałowała go znowu.

Travis z jękiem wypuścił jej dłonie, objął ją i przycisnął do siebie, by dokładnie poczuła, do czego prowadzi takie zachowanie. Splotła mu ramiona na szyi, rozchyliła wargi i poruszała się zmysłowo, przesuwając miękką flanelę i bardziej miękkie kobiece ciało po szorstkim dżinsie.

Pachniała czekoladą. Gładził jej wypukłości, przyciskał mocniej do siebie, Reagowała gwałtownie, skubiąc jego wargi, przesuwając palcami po mięśniach brzucha, aż po pasek spodni. Travis sięgnął dłonią do smukłych ud, pogładził aksamitną skórę pod połą koszuli i zdumiony stwierdził, że Mercy pod spodem jest naga, Przyciągnął ją do siebie z jękiem pożądania.

Serce mu biło, oddech szarpał płuca. Odsunął się i spojrzał: schnące włosy Mercy tworzyły aureolę wokół twarzy, a oczy płonęły dziwnym blaskiem. Patrząc na niego, uśmiechnęła się

wyzywająco i rozpięła pierwszy guzik koszuli.

Coś mu tu nie pasowało. Echem odezwały się jej słowa: „Mam ochotę na odrobinę ryzyka”.

Świadomość tego faktu trafiła w niego z siłą rozpedzonego byka. Ten jej niezwykle nastrój był czymś z przeszłości, przywołaniem dawnej Mercy, która zjeżdżała w dół po pnączach bluszczu i obłąkańczo prowadziła kabriolet. Nie można ufać żadnej decyzji, jaką dzisiaj podejmie, gdyż rankiem znowu stanie się sobą, czyli kobietą opanowaną, uginającą się pod ciężarem poczucia winy.

I do kogo będzie miała rankiem pretensje? Do tego tępego ujeżdżacza byków, który wykorzystał jej słabość. Klnąc w myślach, zrozumiał, że nie może się na to narażać. Nie, jeśli miał nadzieję na coś więcej niż na jedną noc.

Thumiąc jęk frustracji i protesty ciała, Travis oburącz ujął sięgającą do drugiego guzika dłoń Mercy.

- Wystarczy...

- Naprawdę?- Zaskoczenie zmieniło się w zrozumienie. Uśmiechnęła się trochę nadąsana. - Wolisz zrobić to sam, kowboju?

- Przestań.- Starannie zapiął górny guzik swojej koszuli.

- Posuwasz się za daleko.

Poczuła się tak, jakby ją uderzył. Rumieniec natychmiast oblał jej policzki. Wyrwała mu się, spojrzała gniewnie. W oczach płonęła uraza.

- Przepraszam cię bardzo. Mogłabym przysiąc, że o to ci właśnie chodzi.

- Ale nie w ten sposób, - Zrozpaczony, potarł dłonią kark. Wiedział, że wszystko komplikuje.

- Chcesz powiedzieć, że ma to się odbyć da twoich wa-

runkach, nie moich? - Zaśmiała się szorstko. - Jakie to typowe. O co chodzi, kowboju? Boisz się, że nie poradzisz sobie z prawdziwą kobietą?

- Jesteś w takim nastroju, że nie myślisz rozsądnie.

- A kim jesteś, by mnie osądzać? - Syknęła z wściekłością. - Nie pozwolę się traktować jak nierozgarnięte dziecko.

- Więc nie zachowuj się jak dziecko, które wrzeszczy, gdy coś nie idzie po jego myśli. Staram się robić to, co najlepsze.

- Wybacz, jeśli wątpię w ten nagły przejaw szlachetności u człowieka, który od pewnego czasu ze wszystkich sił stara się ściągnąć mi majtki! - parsknęła złośliwie.

Travis nie wytrzymał, chwycił ją za ramiona.

- Posłuchaj! Wiesz, że pragnę cię do szaleństwa, ale kiedy to nastąpi, nie chcę, żebyś potem żałowała. A tak by było, gdybyśmy dzisiaj posunęli się za daleko. I jeśli nawet teraz o tym nie wiesz, przekonałabyś się wkrótce.

Znieruchomiała. Diablicę zastąpiła królowa śniegu. Głos brzmiał lodowato.

- Wiem jednak, kowboju, że prędzej piekło zamarznie niż pozwolę ci znowu się dotknąć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Wyglądasz jak mysz, którą kot przyniósł z podwórka.
- Dzięki, Daisy. Zawsze wiedziałaś, jak pochlebić dziewczynie.

Mercy westchnęła, rzuciła torbę i kluczyki na środek stołu i opadła na fotel. Krępa gospośka nie pomyliła się wiele, biorąc pod uwagę pogniecione dzinsy i flanelową męską koszulę, którą wciąż miała na sobie. Nie mówiąc już o bezsennej nocy, spędzonej na krążeniu po drogach. Na próżno usiłowała odpowiedzieć sobie na kluczowe pytanie: przed czym ucieka Mercy?

Przeczesała palcami włosy, oparła łokcie o Stół i z przyjemnością wdychała zapach kawy.

- Pomóc ci przy śniadaniu?

Daisy przerwała wyciskanie pomarańczy do kryształowego dzbanka i spojrzała na nią zdumiona.

- Ty? Dzień, kiedy wpuszczę cię do swojej kuchni, będzie dniem, w którym odwieszę swój fartuch.

- Wiesz, gdybyś mi dała w dzieciństwie szansę, nie byłabym teraz taką oferumą - odparła łagodnie Mercy.

- A kiedy to okazałaś choćby ślad zainteresowania prowadzeniem domu, jeśli wolno spytać? - Daisy parsknęła. - Miss piękności okolicy, dniem i nocą włócząca się z różnymi chuliganami...

- Niestety, to nadal jest prawdą. - Ubrana w lazurową suknię, w drzwiach stanęła Joycelyn. Wcierała w dłonie balsam.

Po burzy nastał chłodny, słoneczny dzień. Poranny blask wpadał przez kuchenne okna, ukazując pełną wyrzutu twarz matki.

Mercy skrzywiła się dyskretnie.

- Też ci życzę miłego dnia, mammo.

- Jak możesz spojrzeć mi w oczy po tym, co wyczyniałaś nocą?

Mercy wstała, i nalala sobie kawy. Zmęczenie i brak snu dały jej wyrazistość myśli, której w innej sytuacji mogłoby zabraknąć. Pomyślała, że chociaż rodzice nigdy się nie zmieniają, to nie znaczy, że ona nie może zmienić swoich reakcji, przerwać cyklu Winy i wstydu, na nowo ukształtować swojego wizerunku.

Dlatego zamiast się rozgniewać, próbowała mówić spokojnie.

- Tak? A cóż takiego zrobiłam?

- Myślę, że jest to oczywiste. - Joycelyn z niesmakiem spojrzała na flanelową koszulę. - Nie pozbyłaś się swoich nieszczęsnych skłonności do ludzi z rodeo.

To prawda. Ale, po odprawie ze strony Trávisa, była na najlepszej drodze, by to zakończyć. Gdzieś między pierwszym brzaskiem a porankiem uświadomiła sobie, że powinna mu być wdzięczna: powstrzymał ją, choć być może z idiotycznych powodów

W tamtej chwili pójście z Travisem do łóżka wydawało się racjonalne. Chciała to po prostu załatwić, mieć za sobą, gdy znów opuści Flat Fork. A może po prostu potrzebowała tego,

może tęskniła za odrobiną seksu, jak inne kobiety...

- I co? - spytała Joy. - Co masz na swoje usprawiedliwienie?

- Czy, musimy prowadzić tę rozmowę?

- Rozczarowujesz mnie, Mercedes. Nie proszę o wiele, ale twoje bezwstydnne zachowanie, gdy ojciec w każdej chwili może cię potrzebować.

- Już sprawdziłam, jak się czuje tata. Ciśnienie ma dobre.

- Z trudem nad sobą panując, spojrzała wymownie na Daisy.

- Nie może się doczekać soku z pomarańczy.

- Już idę, idę. - Mruczając pod nosem, Daisy ustawiła na srebrnej tacy szklankę i dzbanek, po czym ruszyła po schodach.

Joycelyn nalała sobie kawy.

- Przypuszczam, że z nim spałaś, tak?

Mercy zeszywniała.

- Fakt, że jestem dorosłą kobietą z prawem do prywatności, nie ma pewnie dla ciebie znaczenia?

- Myślę, że mam prawo wiedzieć, czy ostatnie wyczyny mojej córki staną się tematem plotek w całym mieście. - Rozpacz zabrzmiała w jej głosie. - Na miłość boską, Mercedes, pomyśl o stanowisku ojca. Mam nadzieję, że przynajmniej byłaś dyskretna. A jeśli już musisz angażować się w jakieś nędzne romanse, mogłabyś wybrać kogoś ...

- Kogo? Gniew zaczynał w niej kipieć.

- Z naszej sfery, z pozycją.

- Jak mój godny szacunku były mąż, cudzołożnik i drań? Joy, zirytowana, machnęła ręką.

- Czy naprawdę musisz być tak wulgarna?

Mercy poczuła pulsujący ból z tyłu głowy. Wszystkie jej

dobrze intencje rozpadły się w proch. Jak czułaby się jej matka, gdyby wiedziała, że Travis ją odrzucił? Przez chwilę walczyła z impulsem, by wyznać Joy prawdę. Na szczęście ocalił ją telefon. Chwyciła słuchawkę, wdzięczna, że nie musi słuchać oskarżeń matki.

- Witaj, Roni. Nie, już wstałam. Tak, domyślam się, że przy dziecku musisz się rano zrywać. Więc kiedy? W piątek po południu u Rosie? Ty i Sam? Hmm.

Zawahała się. Wciąż miała opory, uważała, że powrót do Flat Fork nie był dobrym pomysłem. A potem podniosła głowę i zobaczyła, że matka z dezaprobatą marszczy czoło: nie podobali się jej przyjaciele córki, jej decyzje, jej życie.

- Dziękuję ci, Roni - powiedziała słodko. - Przyjdę.

Steki w lokalu Rosie były krwiste, napoje zimne, muzyka country głośna, a towarzystwo Roni i Sama zaskakująco sympatyczne. Szybko omówiono dwa kłopotliwe tematy - Trávisa i Kenny'ego - których Mercy najbardziej się obawiała - i zaczęto rozmawiać o czymś innym. Teraz Mercy była naprawdę rozluźniona i po raz pierwszy od powrotu do domu czuła się dobrze. Później, kiedy Sam uparł się, że najlepszym sposobem zakończenia wieczoru będzie miejscowy szkolny mecz, Mercy zgodziła się i mogła mieć o to pretensje do swego pełnego żołądka i pogodnego nastroju..

- Widzę, że we Flat Fork poważnie traktują sport.

Popatrzyła na hałaśliwy tłum wypełniający trybuny. Ludzie wymachiwali proporczykami i flagami Teksasu, brzęczeli krowimi dzwoneczkami i krzyczeli, gdy drużyny przesuwwały się tam i z powrotem po boisku. Powietrze było czyste i ostre. Była zadowolona, że włożyła tweedowe spodnie i kurtkę.

- Owszem, bardzo poważnie. - Sam uśmiechnął się i ruszył schodami w górę.

- Zwłaszcza półfinały - dodała Roni, chowając ręce w kieszenie płaszcza. - Dziś wieczorem we Rat Fork nie dzieje się nic ważniejszego.

Znaleźli miejsca obok przejścia w połowie trybun. Prestonowie odpowiadali na powitania sąsiadów, pozdrawiali znajomych w ogólnej atmosferze wspólnej zabawy. Mercy czuła się trochę zagubiona. Usiadła obok Roni i czując na sobie zaciekawione spojrzenia, z trudem opanowała odruch, by poprawić luźny kok.

- Jeśli dziś wygrają Mustangi, będziesz musiała kibicować im w finale - uprzedziła Roni. - Zostaniesz do przyszłego tygodnia?

- Prawdopodobnie - odrzekła Mercy. - Przynajmniej do Święta Dziękczynienia. Co prawda mama i ja trochę czasem warczymy na siebie, ale przy mnie jest spokojniejsza o tatę. Muszę jednak przyznać, że dostaję tu szału. Brakuje mi dyżurów.

- Doktor Hazelton z pewnością mógłby coś dla ciebie znaleźć, żebyś nie wpadła w kłopoty. - Oczy Roni błysnęły figlarnie. - Nie ubywa mu lat. Powinien trochę odpocząć, a w mieście przydałby się drugi lekarz.

- Co ty tam knujesz, Loczku? - zapytał Sam.

- Och, nic - odrzekła. - Po prostu zasiewam ziarno.

- Nie jest zbyt subtelna - uśmiechnął się Sam.

Mercy parsknęła śmiechem.

- Pochlebia mi ta propozycja, ale jestem zadowolona ze swojej pracy.

Jeśli lubisz harówkę od rana do nocy, żadnego życia towa-

rzyskiego, żadnych związków.:. podpowiedział jej wewnętrzny głos. Mercy zmarszczyła czoło i z wysiłkiem uciszyła go. Była zadowolona i nikt jej nie przekona, że jest inaczej.

- Tak sobie tylko pomyślałam... Och, strzelaj! - Roni poderwała się nagle, przyłączając się do tłumu rozentuzjzmowanych kibiców.

Obrońca Mustangów wyrwał się z młyna i ruszył do linii końcowej. Megafon wymieniał nazwiska* punkty i dystans do pokonania - znajomym aksamitnym głosem, który wzbudzał dreszcz.

80

LEKARKA I KOWBOJ

- Wielki Boże, czy to....?

- Oczywiście Travis. - Roni kiwnęła głową. - Ile razy jest w mieście, biorą go na spikera. Dobrze sobie radzi, prawda?

- Tak - przyznała oschle. - Potrafi nieźle nawijać.

- Też tak sędzę. Jakiś czas temu kablowa telewizja sportowa chciała, by pracował dla nich jako komentator sportowy, ale Travis jeździł na rodea i trudno by mu było pogodzić oba zajęcia.

- Pewnie wyjeżdżał w każdy weekend.

- Mniej więcej - odparł Saiii ze wzrokiem wlepionym w boisko. - Jedno na tydzień o tej porze roku i jedno dziennie latem. To średnio sto dwadzieścia występów rocznie. Ten weekend sobie darował, by dojść do siebie po ostatnim upadku.

Wiedząc o kontuzji Trávisa, Mercy poczuła zimny dreszcz lęku. Czy rezygnacja ze startu oznacza, że był w gorszym stanie, niż się obawiała?

- Myślisz, że znowu wygra? - spytała -Roni.

- Ten facet wie, jak radzić sobie z bykiem. Jest lepszy od wszystkich, bo to kocha. Walczy z tym silnym, prymitywnym zwierzęciem i wygrywa. Wystarczy, że wylosuje parę prawdziwych twardzieli...

- Masz na myśli zwierzęta dostatecznie wściekłe, by go zabiły - wtrąciła ostro Mercy.

Sam zerknął na nią z ciekawością.

- Albo zwiększyły jego punktację. To część ryzyka, Mercy. Żeby zarobić forszę, nie można ujeżdżać cielaków. Wiesz o tym.

- Przepraszam. - Wzruszyła ramionami i spróbowała się uśmiechnąć. - Rany i krew to rzecz normalna w mojej pracy. Dość jej widzę przelanej przypadkowo, żebym jeszcze musiała się martwić o człowieka, który sam wyzywa los.

- To jego wybór.

- Tak. - Zaciśnęła zęby. - Rzeczywiście.

Czyjeś buty zastukały po schodach, a potem obok Mercy usiadła smukła postać w czerni.

- Jak leci?

Wstrzymała oddech i spojrzała na Travisa, uwięziona między nim a Roni.

- Co, do diabła...?

- Nie złość się, skarbie. - Mrugnął do niej, uśmiechnął się, potem ujął za ramię Sama i wskazał w dół, w stronę wejścia. - Popatrz, współniku. Widzisz tego małego, który kłóci się z Honey?

Cynamonowowłosa kobieta stała przy poręczy w dole, prowadząc burzliwą dyskusję z chudym czarnookim chłopcem, mniej więcej trzynastoletnim. Jego ponura mina i lekceważąca poza lepiej niż słowa dowodziły, co myśli o wygła-

szanym kazaniu. Trójka starszych nastolatków przyglądała się temu z pewnej odległości, zachęcając młodszego kolegę komentarzami.

- A co z nim? - spytał Sam.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie jest jeden z tych łobuzów, których widziałem niedaleko mojego rancza,,

- To Chase Conly. -Roni zmarszczyła czoło. - Mieszka z wujkiem niedaleko ciebie.

Wysiłki Honey wyraźnie pozbawione były rezultatów. Chłopak wzruszył ramionami i chciał się odwrócić. Żeby go zatrzymać, Honey chwyciła za, koszulę, a on odtrącił jej rękę i odszedł, dołączając do kolegów.

- Muszę wracać do swojej budki - powiedział Travis. - Może byś sprawdził, co ten dzieciak planuje?

Sam skrzywił się i wstał.

- To może niezły pomysł. Przepraszam panie.

Travis przepuścił go, potem schylił się i szepnął Mercy do ucha:

- Wyglądasz dzisiaj cudownie, skarbie.

Spojrzała na niego chłodno.

- Zachowaj swoje słodkie słówka dla kogoś, kto je doceni.

Travis spojrzał na nią ponuro, lecz za chwilę uśmiechnął się kpiąco.

- Wróciliśmy do punktu wyjścia, co?

- Nawet gorzej.

Nigdy nie ignorował wyzwania, więc teraz też spojrzał z uśmiechem, który tylko rozgniewał Mercy jeszcze bardziej.

- No cóż, skarbie. Jak mawiają stare ogary, na wiele sposobów można obedrzeć kota ze skóry.

Przeskakując po dwa schody naraz, Travis wrócił do budki

komentatora.

Roni odgarnęła ciemne loki i spojrzała na Mercy z do-
mysłem.

- Więc to tak.

- Nie. Wcale nie.

- Zawsze się zastanawiałam.... To znaczy, wiem, że szala-
łaś za Kennym, ale już wtedy było coś...

- Przestań. To tylko twoja wyobraźnia. - Mercy miała nadzieję, że chłód jest wystarczającym powodem tego, że ma rumieńce na policzkach.

- Jeśli tak mówisz... - Roni nie wyglądała na przekonaną.

- Punkt! - ryknęły głośniki.

Kibice wpadli w szal. Orkiestra przy polu gry zagrała zwy-
cięskiego marsza. Wszyscy obejmowali się, krzyczeli. Travis opisywał akcję, próbę zdobycia dodatkowych punktów w ostatnich sekundach. Mercy też ogarnęła euforia. Uśmiech-
nęła się do Roni.

- ...panie i panowie, pod koniec pierwszej połowy Mu-
stangi prowadzą czternaście do sześciu - powiedział Travis,
a jego głęboki głos odbijał się echem od trybun. - Zanim
udamy się na przerwę, powitajmy w domu byłą królową balu
maturalnego, pannę Mercedes Holt. Wstań, Mercy, i poma-
chaj nam.

Mercy poczuła się bardzo zakłopotana.

Roni zachichotała i szturchnęła ją w bok.

- No już, wstawaj.

Co innego mogła zrobić? Wstając, Mercy uśmiechnęła się
i uniosła rękę, dziękując za żywiołowe oklaski widowni. Rzu-
ciła mordercze spojrzenie w stronę ciemnej postaci z mikro-
fonem w budce komentatora i usiadła jak najszybciej, mam-

rocząc pod nosem przekleństwa.

Monolog Trávisa trwał dalej.

- Jak wszyscy wiemy, ojciec Mercy, nasz drogi sędzia Jonathan Holt, ostatnio miał kłopoty ze zdrowiem, ale już czuje się lepiej. Chciał przekazać, że serdecznie zaprasza wszystkich do udziału w barbecue i tańcach na rzecz Młodzieżowego Oddziału Porządkowego. Słuchajcie, oddział potrzebuje pieniędzy, a zabawa będzie świetna.. Panna Honey Jones stoi u wejścia i czeka na was z biletami. Przywitaj się, Honey.

- Witajcie! - krzyknęła panna Jones. Potem uśmiechnęła się i pomachała plikiem biletów. - Chodźcie i kupujcie.

- A więc ruszajcie - zachęcił publiczność przez głośniki Travis. - Nie bądźcie dusigroszami, bo to inicjatywa służąca słusznej sprawie.

Roni śmiała się głośno, widząc, jak kupujący otaczają Honey.

- Jest fantastyczny, prawda?

- Poniekąd - przyznała ponuro Mercy.

- No, dalej. Spieszcie się. Nie zaczniemy drugiej połowy, dopóki Honey wszystkiego nie sprzeda. - Travis stanął w drzwiach budki i popędzał tłum mikrofonem.

- Hej, Travis! - krzyknął ktoś. - A co z twoimi biletami?

Oczy Trávisa błysnęły spod czarnego kapelusza. Wyjął z kieszeni koszuli dwa bilety i pomachał nimi nad głową.

- Już kupiłem, Buck. I będę miał zaszczyt towarzyszenia pięknej Mercy Holt, jako oficjalnej reprezentantce sędziego.

- Co? - Mercy spojrzała na Trávisa z wściekłością. - Nigdy...

- Panna Mercy jest lekarką w pięknym mieście Fort

Worth - krzyczał dalej Travis - więc może nie przekonamy jej do takich wyczynów, do jakich była zdolna w szkole. Ale wciąż może zbadać, a właściwie podwyższyć ciśnienie. Chodźcie więc, a nie pożałujecie. A teraz kontynuujmy mecz...

Ludzie śmiali się, klaskali, kilku znajomych machało zachęcająco do Mercy. Gdyby nie była tak zirytowana, te oznaki sympatii bardziej by ją cieszyły. Mogłaby nawet odkryć, że zniknęło kilka uprzedzeń wobec Flat Fork i jego mieszkańców.

Zmuszona do uśmiechu, przyjmowania od przyjaciół i sąsiadów szczerych pochwał i gratulacji, z trudem powstrzymywała ochotę, by ogłosić, że Travis to oszukańczy, kłamliwy śmierzdel. Ale znalazła się w pułapce ludzkich oczekiwań. Gdyby nie pojawiła się na imprezie, uznaliby ją za złośliwą i zarozumiałą.

Dlatego zacisnęła zęby i planowała zemstę. Travis już za wiele sobie pozwalał: Musi za to zapłacić, i to drogo.

Travis wiedział, że Mercy mu za to odpłaci. Nie wiedział tylko, w jaki sposób ani kiedy. Oczekiwanie na cios sprawiło, że był nerwowo jak stary byk kąsany przez muchy.

Kiedy wieczorem przed barbecue sędzia szedł przez marmurowy hol rezydencji Holtów, Travis pomyślał, że to pierwsza rękawica, którą rzuciła mu Mercy. Miał się spotkać z jej ojcem.

- Travis, mój chłopcze! Wejdz, proszę. - Jonathan wyciągnął rękę, klepnął go w plecy i wprowadził do eleganckiego salonu. Sędzia wydawał się trochę chudy w luźnych spodniach i flanelowej koszuli, ale twarz miał rumianą, a uśmiech,

który dał mu zwycięstwo w wielu wyborach, wciąż jaśniał na twarzy. - Mercy będzie gotowa za minutę.

- To wspaniale, że czuje się pan już nieźle, panie sędzio.

- Travis odchrząknął, starał się nie wyglądać jak nastolatek na pierwszej randce.

Jonathan opadł na mało wygodny z wyglądu mahoniowy fotel i wskazał Travisowi drugi.

- Straszne z nich więdźmy. Obie, moja córka też. Czuję się świetnie, a ona nie pozwala wrócić mi do pracy.

- Wiem, co to znaczy - westchnął Travis. Z kapeluszem w rękę przysiadł na brzegu fotela. Skrzywił się, gdy mebel zatrzęszczał pod jego ciężarem.

Kiedyś byłby zakłopotany elegancją tego pokoju, kryształowymi kandelabrami i europejskimi antykami, ale tymczasem bywał tu i tam, spotykał się z dobrze ustawionymi sponsorami i nawet w najlepszym towarzystwie nie tracił głowy. Wprawdzie odebrał wykształcenie w twardej szkole życia, ale miał sporo wrodzonej inteligencji. Trzeba przyznać sędziemu, że objawiał zdrowy rozsądek. Może nie był zachwycony obecnością zawodnika rodeo u boku swej jedynej córki, ale Travis czuł, że się rozumieją.

- I ja często miałem podobne kłopoty - wyznał Travis.

- To może doprowadzić człowieka do szału.

- Ładnie się zachowałeś. Jestem ci wdzięczny, że włączyłeś się do tej imprezy, synu. To był mój pomysł. Chciałbym, żeby został zrealizowany, ale jeśli Honey będzie miała do pomocy ciebie i Mercy, to wiem, że pozostawiam sprawy w dobrych rękach.

- Dziękuję panu. Chciałbym, żeby młodzież znalazła tu swoją szansę. Jako nastolatek często miałem kłopoty. Gdy-

by nie rodeo... - Wzruszył ramionami.

Sędzia roześmiał się, choć patrzył na niego z szacunkiem.

- Tak, a teraz jesteś mistrzem i biznesmenem, a moja mała została lekarką. W zeszłym tygodniu pomagała nawet Hazeltónowi w szpitalu. Kiedy byliście dziećmi, a my, rodzice, martwiliśmy się o waszą przyszłość, kto by pomyślał, że tak daleko zajdziecie. Jestem dumny z tego, czegośmy się tu dochowali we Flat Fork.

- Tato, chyba po raz pierwszy w życiu słyszę od ciebie coś takiego. - Radość, zdziwienie i zaskoczenie rozbrzmiewały w głosie Mercy, stojącej w progu.

Weszła do pokoju, a Travis poderwał się na równe nogi. Złociste włosy opadały jej na ramiona. Włożyła plisowaną fioletową spódnicę, dzięki czemu jej oczy wydawały się fiołkowe, a także odpowiednią koszulę, buty i kowbojski, pas. Szyję i uszy ozdobiła srebrna biżuteria. Miała też stetoskop i przyrząd do mierzenia ciśnienia. Widział ją po raz pierwszy od dnia, kiedy spotkali się na meczu, i zaparło mu dech w piersiach.

- Jeżeli człowiek czegoś nie mówi, to nie znaczy, że tak nie myśli - burknął Jonathan.

- Mimo wszystko miło to słyszeć. - Cmoknęła ojca w policzek. - Dziękuję. - Zaczęła mu mierzyć ciśnienie. - Jak się dziś czujesz, Travis?

- Świetnie, skarbie.

- Zaraz się tobą zajmę. - Nałożyła słuchawki i w skupieniu zmarszczyła czoło.

- Nie spiesz się. - Travis czuł suchość w ustach. Usiłował stłumić pożądanie, jakie budził w nim sam jej widok. Może jakoś przeżyje ten wieczór, a może wykorzysta okazję, by

odbudować przynajmniej niektóre spalone mosty.

- Przestań się mną zajmować, Mercy - rozkazał sędzia.
-Spóźnicie się.

- Jestem pewna, że zostawią nam trochę jedzenia. - Złożyła aparat i spojrzała na ojca surowo. - Wzięłeś leki?

- Nie pouczaj mnie jakbym miał sześć lat. - Machnął na nich ręką. - No, idźcie. Dobrej zabawy.

- Z pewnością będzie dobra - mruknęła Mercy i uśmiechnęła się do Tralisa, - Idziemy?

Pożegnał sędziego, pomógł jej włożyć płaszcz i wyszli. Podczas jazdy żarciki Mercy na temat rzeńskiego wieczoru, błyszczących gwiazd i tego, jak nie może się doczekać prawdziwego teksaskiego barbecue, budziły w nim coraz większy niepokój. W końcu postanowił wziąć przysłowiowego byka za rogi.

- Nie musisz udawać, że nie jesteś na mnie o to wszystko wściekła - oznajmił, podjeżdżając pod halę.

Grupy gości spacerowały po całym parkingu, pojawiały się w jasno oświetlonych drzwiach hali i znikwały wewnątrz. Kucharze doglądali trzech ruchomych grilli, ustawionych z boku budynku, a w powietrzu unosił się aromatyczny dym pieczonego mięsa. Ostra muzyka zespołu country rozbrzmiewała wśród nocy.

- No dalej, zrób mi awanturę i miejmy to za sobą. Oboje pocujemy się lepiej.

- Myślę, że jesteśmy wystarczająco dorośli, by nie kłócić się teraz jak nastolatki. - Spoglądała na Tralisa ze spokojem.

- Chodźmy do środka. Zgłodniałam,

Ta łagodna odpowiedź nie uśmierzyła jego podejrzliwości. Ale jeśli rzeczywiście była gotowa do pojednania, może zdoła

uratować ich przyjaźń.

Nakładając na talerze żeberka i piersi kurczaka, sos, fasolę i sałatkę ziemniaczaną, zbliżyli się do jednego z wielu stołów, by przywitać się z Roni i Samem. Honey uwijała się niczym pszczoła, biegając od podestu do kuchni i z powrotem, upewniając się czy wszystko idzie sprawnie.

Po posiłku zatańczyli i, mimo protestów Mercy, okazało się, że nie zapomniała teksaskiego swinga. Nie pozwolono jednak Travisowi zbyt długo cieszyć się towarzystwem Mercy. Pełniła tu w końcu, obowiązki oficjalne, więc nakłaniała swoich partnerów, by wrzucali w darze dziesiątkę czy dwudziestkę do wazy Honey.

Był o nią diabelnie zazdrosny.

W końcu porwał ją do walca, niemal jęcząc z rozkoszy, gdy przyłgnęła do niego, wirując w rytm muzyki. Wdychał słodki aromat jej włosów. Choć przez cały wieczór zachowywała w stosunku do niego dystans, czuł, że jej palce drżą, dotykając jego dłoni. Nie odsunęła się, kiedy przyłgnął do jej twarzy policzkiem. Pożądanie i tęsknota stały sienie do zniesienia. Doprowadzała go do szaleństwa.

Solista zespołu śpiewał o zagubionych kochankach i dawnych błędach. Travis szepnął Mercy do ucha:

- Czy moglibyśmy stąd wyjść? Musimy porozmawiać.

-Przecież impreza wciąż trwa,

Odsunął się nieco, ale Mercy odwróciła wzrok. Nie mógł odczytać wyrazu jej błękitnych oczu.

Nagle obok nich pojawiła się czarująco uśmiechnięta Honey.

- Już czas, Mercy.

- Dzięki. - Mercy skinęła głową.

- Czas na co? - spytał Travis.

- Na aukcję, żeby zebrać jeszcze trochę pieniędzy! Chcesz nam pomóc?

Miał ochotę na małą eskapadę z Mercy, ale stłumił ogarniającą go frustrację.

- Oczywiście, skarbie, byle tylko nie przerywali nam tańca,

Mercy uśmiechnęła się lekko. Serce niemal wyrwało mu się z piersi.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

- Zawsze. Skarbie... - Przerwał, bo podszedł Sam i stuknął go w ramię. - Nawet o tym nie myśl, współniku. Wreszcie dorwałem tę damę i nie oddam jej żadnemu pastuchowi.

- To zrozumiałe. - Sam uśmiechnął się do Mercy, a potem spowaźniał. - Ale nie o to chodzi. Dzwonił Angel, Ukradli nam jeszcze cztery byki. Tym razem próbowali złapać Grenadę.

- Co?!-zawołał Travis.

- Chyba nie mogli sobie z nim poradzić - mówił dalej Sam. - Angel powiedział, że przebił się przez dwa płoty. Muszę ściągnąć szeryfa i pomóc Angelowi.

- Pojadę z tobą.

- Nie, poradzę sobie, - Sam skinął na podest orkiestry, gdzie Honey informowała o zebranej sumie i wzywała Traviisa, żeby się pokazał, - To jest twoje zadanie. Dam ci znać, jeśli coś znajdę.

- No dobrze, współniku. Do diabła, nie poprawi to naszej sytuacji. Mamy parę kontraktów i żadnego bydła.

- Znajdziemy jakiś sposób - odparł ponuro Sam. - Jak zawsze.

- Travis, oni czekają. - Mercy szarpnęła go za ramię. Ski-
nął na pożegnanie Samowi i ruszył do podestu.

Honey przywołała go do siebie, żeby mu podziękować za udział w imprezie. Jej elfia twarz wyglądała figlarnie, gdy sięgnął do kapelusza, dziękując za oklaski. Mercy podeszła do podium, gdzie czekało już kilka dużych pudeł.

- A ponieważ wszyscy wiedzą - kontynuowała Honey - że za parę tygodni startujesz w krajowych finałach, chcielibyśmy, by nasi mieszkańcy mieli okazję wspomóc mistrza odpowiednim sprzętem.

- Na przykład: jakim? - Travis spojrział na nią zdumiony.

- Zobaczysz. - Mrugnęła do niego. - A teraz, kochani, będziemy licytować te przedmioty. Sprzęt trafia do mistrza, a pieniądze na fundusz Młodzieżowego Oddziału. Pamiętajcie, im wyżej licytujemy, tym większym szacunkiem darzymy naszego bohatera. Więc nie zrażcie jego uczuć, bądźcie hojni. Jesteś gotów, Travis?

Miał wrażenie, że ktoś sobie z niego żartuje, ale wzruszył ramionami.

- Strzelaj.

- W porządku, Mercy. - Pomachała ręką. - Kochani, ile dostanę za ten niezwykle ważny, choć nieładny, kołnierz ortopedyczny?

Zebrani zachichotali. Travis poczuł, jak płoną mu uszy.

- Pięćdziesiąt centów - ktoś krzyknął.

- Och, na pewno stać nas na więcej - odparła Honey.

Mercy, parując po podium, pomachała sztywnym kołnierzem nad głową.

- Dwadzieścia dolców - zawołał młody kowboj.

- Sprzedany. - Honey rozpromieniła się.

Mercy podeszła do Trávisa i nałożyła mu kołnierz na szyję. Oczy jej błyszczały, a głos był słodki jak sacharyna.

- To dla, ciebie, kowboju. Założę się, że będzie ci potrzebny.

Nie spodobała mu się ta przepowiednia ani to, że wszyscy na niego patrzą. Jednak stłumił gniew i uśmiechnął się z przyzorem.

- Dzięki.

Ale zabawa jeszcze trwała. Po kolei Honey licytowała, a Mercy wciskała go w szyny, temblaki, kule, ochraniacze i opaski. Wyglądał jak mumia. Nigdy w życiu nie czuł się tak głupio. Ludzie okrzykami powitali ostatni pomysł: kompletny wózek inwalidzki. Wyglupy Mercy jako prezentatorki podwyższały cenę. Łącznie dodała niemal tysiąc dolarów do sumy zebranej wieczorem. Honey nie posiadała się z radości.

- Dzięki, że się przyłączyłeś, Travis. Nie spodziewamy się, żebyś wrócił do Flat Fork w takim stanie, ale zawsze warto się przygotować, prawda?

- Dzięki za wiarę we mnie, Honey.

Cały obwiązany, usiadł w tym przeklętym wózku, choć wściekły, starał się zachować twarz. Uśmiechnął się, wiedział, kto wpadł na pomysł tego spektaklu. Jeśli Mercy chciała grać ostro, to proszę bardzo.

- Przynajmniej mam osobistego lekarza, który się mną zajmie. - Chwycił dłoń Mercy, pociągnął ją mocno na swoje kolana. - Chodź tu, skarbie, i pocałuj mnie na szczęście.

Cmoknął ją w szyję. Siedząca na fotelu, z podciągniętą spódnicą, Mercy broniła się i odpychała Trávisa, sycząc:

- Puść mnie, ty wredny śmierdzielu.

Tłum był zachwycony. Gwizdy i krzyki wypełniły salę.

Mercy wstała niepewnie, policzki jej płonęły. Honey tak się śmiała, że prawie nie mogła mówić.

- W słusznej sprawie nie cofniesz się przed żadną ofiarą, kowboju? Jeszcze raz oklaski dla tej pary za ich pomoc.

Wśród entuzjastycznych braw Travis pomachał ręką publiczności, a Mercy zepchnęła wózek ze sceny. Zespół zagrał znowu. Travis szarpnął za węzeł temblaka.

- Pomóż mi, skarbie.

- Jak dla mnie, możesz tak siedzieć do końca świata.

- Czyżbyś nie była zadowolona z udzielonej mi lekcji?

- Uśmiechnął się i wiedział, że trafił, gdy zarumieniła się jeszcze bardziej. - Jeśli nie lubisz ciepła, trzymaj się z dala od ognia. Poza tym teraz, kiedy nosisz mój znak, te typy z lepkiemi łapami będą się trzymać z daleka.

- Twój znak? - Oczy błysnęły jej gniewem. - Nie jestem niczyją własnością. A już na pewno nie twoją. - Zeszła z podwyższenia i ruszyła do wyjścia.

- Mercy, zaczekaj.

- Idź do diabła.

Tłumiąc przekleństwo, zrywał z siebie opaski i szyny. W końcu wstał, ale właśnie wtedy podbiegła Honey, żeby jeszcze raz podziękować. Kiedy znów się obejrzał, Mercy zniknęła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Wsiadaj do wozu. - Otworzywszy drzwi od strony pasażera, Travis zrównał się z Mercy, która maszerowała po ciemnym chodniku spokojnego przedmieścia.

Ostry wiatr rozwiewał jej włosy. Szła z podniesioną głową i zaciśniętymi zębami, nie zatrzymała się, nawet nie spojrzała w jego stronę.

- Nie, dziękuję.

- Szukam cię od godziny - powiedział. - No już, wsiadaj.

- Nie.

Wtedy stracił cierpliwość. Wcisnął hamulce i wyskoczył z wozu. Odwróciła się, jej oczy lśniły w słabym blasku ulicznej lampy. Uniosła dłoń, by go powstrzymać.

- Nie zbliżaj się, Travis. Ostrzegam cię.

Chwycił ją mocno w objęcia. Krzyknęła zaskoczona.

- Dłużej już tego nie wytrzymam, rozumiesz?

Uniosła głowę, zacisnęła wargi i oparła dłoń o jego kurtkę.

- A ja nie lubię towarzystwa durniów, kowboju.

- Nawet dureń może mieć czasem rację.

- Puść mnie, do cholery.

- To jest Teksas, pamiętasz? - zawołał. - Tu panuje prawo, które mówi, że masz wyjść z tym, z kim przyszałaś.

- Możesz mnie zaskarżyć.

- Na Boga, ja cię tam ściągnąłem i odprowadzę cię do

domu. - Zmrużył oczy, objął ją w pasie i przycisnął do siebie.

- Chyba że wołałabyś raczej coś innego, co już zbyt długo odkładamy.

- Wołałabym iść do łóżka z grzechotnikiem.

- Ty też nie zawsze jesteś taka słodka, co nie zmienia faktu, że szalejemy za sobą. - Pociągnął za brzeg jej koszuli i dotknął sporej metalowej klamry u jej pasa, Zesztywniał, znieruchomiał, jakby zobaczył to po raz pierwszy. - Co to jest, do diabła?

Nie odpowiedziała. Patrzyła na niego, unosząc podbródek. Ale rozpoznał tę klamrę. Jedną z pierwszych mistrzowskich klamer jakie wygrał Kenny. Włożyła ją dzisiaj jak coś w rodzaju symbolicznego pasa cnoty, nieprzeniknioną barierę między przeszłością a teraźniejszością.

Miał chęć ją udusić, miał ochotę wycić niczym samotny wilk. Ale kochał tę kobietę, choć w żaden sposób nie mógł do niej dotrzeć. Nie wtedy, gdy postanowiła opierać mu się tak mocno, kiedy było jasne, że nie potrafi mu, wybaczyć tego, co zrobił wiele lat temu.

Wolno rozprostował, palce i cofnął cię. Patrzyła na niego uważnie, jakby wyczuwając, że zaraz, wybuchnie. Ten wzrok go zaniepokoił. Wiedział, że został pokonany.

- Dobrze, skarbie, wygrałaś. Pozwól, że odwiozę cię do domu i skończymy z tym. Tylko o to proszę.

Nie protestowała, gdy pociągnął ją do otwartych drzwi i pomógł wsiąść. W drodze obserwowała go swymi wielkimi oczami.

Travis prowadził instynktownie. Nie miał już właściwie nic do powiedzenia. I nagle uświadomił sobie, że owszem, miał, o pewnych sprawach dawno minionych, których nie

poruszał, gdyż bał się, że odepchnie ją od siebie jeszcze bardziej. Ale teraz, kiedy pozostało mu tylko pożegnać się po raz ostatni, wiedział, że nie może się z nią rozstać, nie wyjaśniając wszystkiego do końca.

Znajoma droga krzyżowała się z główną trasą. Skrzył na nierówny, żwirowy szlak.

- To nie jest droga do domu -zauważyła.

- Nie. Mam ci coś do powiedzenia. To nie potrwa długo. Zatrzymał samochód na niewielkim wzniesieniu pod kępą dębów i zgasił silnik. O'Neal Lane było miejscem wykorzystywanym przez całe pokolenia napalonych nastolatków. Travis spędził tu wiele godzin z miejscowymi dziewczynami, z wszystkimi z wyjątkiem tej jednej, która siedziała teraz nieruchomo i spokojnie obok niego. Patrzył w ciemną szybę i lekko uderzał pięścią o kierownicę. Zastanawiał się, od czego zacząć. Westchnął.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o tej nocy, kiedy zginął Kenny.

Zesztywniała.

- Nie było cię.

- Byłem w szoku i popełniłem wiele błędów. - Zdjął kapelusz i położył go na desce rozdzielczej, potarł dłońmi twarz.

- Ta sprawa czeka już zbyt długo, Mercy. Wiem, że nie możesz mi wybaczyć, i chyba muszę zrozumieć, że cokolwiek by się stało, to zawsze będzie tkwić między nami.

- O czym ty mówisz?

- Prowadziłem wtedy. Padał deszcz, a ta druga furgonetka zjawiała się niespodziewanie. Ale wypilem parę piw za dużo i to była moja wina. Kenny był moim najlepszym przyjacielem, kochałem go jak brata, ale przeze mnie zginął. Gdyby

nie ja... Chciałem tylko powiedzieć, że mi przykro. Nigdy tego nie mówiłem, i wiem, że to niczego nie zmieni, ale chciałem, żebyś wiedziała...

Czuając ucisk w gardle, sięgnął do stacyjki.

- Przez tyle lat.... o Boże... - Położyła mu drżące palce na ramieniu.

Zamarł.

- Nigdy nie miałam do ciebie pretensji. - Jej głos brzmiał szorstko w ciemności. - To nie ty. To ja go zabiłam.

W Mercy wezbrało dręczące ją od piętnastu lat poczucie winy. Ukryła twarz w dłoniach, ramiona jej drżały.

- Czy możesz mi to wyjaśnić? - spytał niepewnie Travis.

- Nie powinieneś mieć wyrzutów sumienia.

- Nie rozumiem.

Uniosła głowę, dłonie opadły jej bezwładnie na kolana, a głos był pełen bólu.

- Tamtej nocy on zwyciężył. Planowaliście to uczcić. Tak powiedział przez telefon. A potem coś się zmieniło i uparł się, że chce wracać do domu. Pamiętasz?

- Tak. - Travis kiwnął głową. - Byłem zły przez pierwsze dwieście kilometrów... Nagle koniecznie chciał wrócić do Flat Fork.

- Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego?

- Pomyślałem, że chce być z tobą.

Zaśmiała się niewesoło.

- Tak. Z dziewczyną, która właśnie z nim zerwała. I to na odległość.

- Co?

- Gdybym miała dość odwagi, żeby poczekać ze swoim wyznaniem, w ogóle nie zjawilibyście się nocą na drodze. To

ja do tego doprowadziłam, nie rozumiesz? - Zająknęła się.

- To ja powiedziałam mu przez telefon, że nie chcę go więcej widzieć... że go nie kocham.

- Ale dlaczego? Przecież szaleliście za sobą.

Nie mogła odpowiedzieć. Żal ścisnął ją w gardle, w oczach błyszczał wstyd i pogarda dla siebie. Dostrzegła, że Travis zaczyna pojmować.

- O Boże...

Ogarnęło ją poczucie winy. Otworzyła drzwi i wybiegła na zewnątrz. Dogonił ją po kilku krokach, pochwycił z tyłu za ramiona i przyciągnął do piersi. Bładożółte światło z kabiny wozu sprawiało, że czuła się odsłonięta i bezbronna.

- Mercy, skarbie...

- Jak możesz mnie tak nazywać? - krzyknęła. - Ciebie też skrzywdziłam. Przez tyle lat obwiniałeś siebie o ten wypadek, a to ja, samolubny, zepsuty bachor... Zraniłam porządnego człowieka tylko dlatego, że miałam ochotę na jego najlepszego kumpla.

Travis odwrócił ją twarzą do siebie.

- Nie obwiniaj siebie. Byliśmy młodzi. Takie rzeczy się zdarzają.

- To wymówki. Przecież wiedziałam. Ale dostałam to, na co zasłużyłam. Kenny odszedł, i ty także. Straciłam was obu.

- Nie mogłem spojrzeć ci w oczy. Po tym, co zrobiłem, bałem się tego, co zobaczę.

- Bałeś się? Czego?

- Twojej nienawiści.

Szeroko otworzyła oczy.

- Nie, to niemożliwe.

- Ale nie wiedziałem o tym i nie chciałem ryzykować.

Nie tylko ty czułaś się winna.

- Wiem, ten wypadek...

Chwycił ją mocniej i pokręcił głową,

- Nie, to nie tylko to. Boże Wszechmogący, Mercy!

Byłem w tobie po uszy zakochany. Jak mogłaś tego nie wiedzieć?

Zadrżała, oddychała nierówno.

- Ja...

- Zaskoczona? - Skrzywił się ironicznie. - Może byłem lepszym aktorem, niż mi się wydawało. Wiedziałem, że za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę, zdradzam najlepszego kumpla.

- Oboje o tym wiedzieliśmy. - Oblizła wargi.

- Tak. I w końcu coś byśmy wymyślili. Gdyby tylko sprawy ułożyły się inaczej...

- Tak, gdyby tylko...

- Ale teraz znamy prawdę. - Pokręcił głową i wbił palce w jej ramiona. - Niech Bóg zlituje się nad nami, Mercy. To poczucie winy... Wpadliśmy w pułapkę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Żadne z nas nie może czuć się winnym. Obiecuj mi. Musimy pozwolić temu... pozwolić jemu odejść.

Poczuła, że łza spływa jej z oka.

- Zmarnowaliśmy tyle czasu.

- Jesteś lekarzem - odparł łagodnie. - Niektóre rany goją się bardzo długo.

- W twoich ustach brzmi to niemal śmiesznie.

- Och, do diabła. Po prostu chodź do mnie.

Przytuliła się do Travisa, wsunęła w jego ramiona, a z jej piersi wyrwał się szloch, dźwięk uwalniający ból spóźniony o piętnaście lat. Obejmując ją, oparł się o furgonetkę. Gładził

palcami jej włosy, a ustami muskał czoło.

- Nie przejmuj się i płacz, skarbie - powiedział chrapliwie.
- Myślę, że już dawno powinnaś.

Uniosła głowę i sięgnęła dłonią do policzków, wcale nie zdziwiona, że były wilgotne.

- Oboje powinniśmy, Travis.

Spojrzeli sobie w oczy, Mercy pogładziła porośniętą szczecinę szczękę. Travis był czuły i namięty zarazem.

Ogarnęły ją słodkie emocje. Aksamitny dotyk wąsów na skórze, stwardniałe palce na szyi... Dotykając jego twarzy, włosów, wlała w pocałunek całą swoją słodycz i całą miłość.

Travis niechętnie oderwał wargi od jej ust i przycisnął czoło do jej czoła.

- To było słodkie, Mercy.
- Bardzo za tobą tęskniłam.
- Codziennie o tobie myślałem.
- Cieszę się, że znów możemy być przyjaciółmi.
- Kumplami.

Uśmiechnęła się i przesunęła palcem po jego wąsach. Chwyił ją za nadgarstek i musnął ustami czubki jej palców.

Drżąc, ale nie z chłodu, spojrzała na jego wargi, a potem prosto w ciemne oczy. Po sekundzie wahania poruszyli się jednocześnie, ich usta zetknęły się gwałtownie.

Nie mogła oddychać. Wsunęła palce w jego gęste włosy, jakby w ten sposób chciała utrzymać się na nogach. Sięgnął dłonią pod płaszcz i objął jej pierś. Jęknęła, przytuliła się mocniej i zsunęła płaszcz z ramion, wsuwając kolano między jego uda.

Oderwali się od siebie zdyszani, podnieceni tym nieoczekiwanym wybuchem pożądania. Cały świat zawirował wokół

Mercy: dawno zapomniane podniecenie, nowo odkryta słodcz, nieustępliwa chemia hormonów. Ale wiedziała, czego chce.

- Jeszcze raz - zażądała.
- Musisz uważać, o co prosisz tak spragnionego mężczyznę.
- Ja też jestem spragniona.

W mgnieniu oka przycisnął ją do siebie i pocałował tak gorąco, aż ugięły się pod nią kolana. A potem uniósł głowę i wycisnął kilka lekkich, gorących pocałunków wzdłuż szyi, rozpinając przy tym koszulę. Chłodne powietrze dotknęło skóry nad wąskim stanikiem, a sutki nabrzmiały pod koronką. Wiedząc, że on także nie panuje nad sobą, Mercy z uśmiechem zsunęła mu z ramion kurtkę, potem jednym szarpnięciem rozpięła perłowe zatrzaski kowbojskiej koszuli.

Jęknął, wyciągnął jej koszulę spod paska, a potem zawahał się, gdy palce dotknęły zimnej metalowej klamry. Cofnął dłoń, ale śmiało spojrzała mu w oczy, rozpięła pasek i jak najdalej rzuciła w czerni nocy.

To wystarczyło.

Travis uniósł ją i usadził na siedzeniu w kabinie. Potem pochylił się, przez koronkę stanika gładząc nabrzmiące sutki. Jęczała z rozkoszy.

- Aresztują nas - stwierdziła, przytrzymując jego głowę.
- W promieniu paru kilometrów nie ma nikogo, skarbie.
- Zirytowany barierą tkaniny, odszukał haftkę i odsłonił jej piersi. Pogładził wąsami jasne wzgórki, a potem lekko polizał czubki. Wygięła się w łuk.
- Światło - rzuciła zdyszczym głosem.

Wcisnął przełącznik, zgasił lampkę i włączył radio. Za-

brzmiała muzyka nocnej audycji country. Mercy rozpięła mu mankiety i gorączkowo ściągnęła koszulę.

- Marzyłem kiedyś, żeby znaleźć się tu z tobą.
- A zamiast mnie, sprowadzałeś wszystkie dziewczyny.

Opowiadały, jaki z ciebie ogier.

- To nigdy nie była odpowiednia dziewczyna. Aż dotąd.

Znów ją pocałował. Odnalazł brzeg spódnicy, odepchnął lekki materiał i przesunął dłonią od kolana w górę, od atłasowych ud, aż po okryte jedwabiem złączenie. Przez cienką tkaninę badał jej sekrety.

- Jesteś taka wilgotna i gorąca,.. - Przyłożył policzek do jej piersi i zadrżał. - Przepraszam.

- Przepraszasz?
- Nie chciałem posuwać się tak daleko.

Czuła, że się wycofuje, i wszystko w niej protestowało.

- Nie! - Przyciągnęła go i szepnęła gorączkowo: - Ja... my tego potrzebujemy.

- Tak.

Sięgnęła niżej, odnalazła guzik dżinsów i rozpięła go. Travis gorączkowo zdjął jej spódnice, zsunął majteczki i zrzucił buty. Usadził ją na brzegu fotela i wsunął się w jej jedwabiste wnętrze z ostrożnością, która doprowadziła Mercy do szaleństwa. Objęła go za szyję i splotła nogi na jego biodrach.

Było cudownie, jeszcze nie przeżywała tego w sposób tak pewny, tak gorący i właściwy. Czekwała na niego całą wieczność i nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.

A potem zdarzyło się niemożliwe: jej ciało zeszytniało rozdarte tak potężną eksplozją rozkoszy, że świat się zakotyssał. Istniał tylko Travis, który znów rozjaśnił jej życie.

Później, z policzkami mokrymi od łez, tuliła się do niego

w ciasnej kabinie. Oboje byli oszołomieni, oboje zastanawiali się. A w radio Judy Collins śpiewała o dawnym rodeo.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

To jasne, że o jeden raz za dużo oberwał po głowie: A może urodził się już jako idiota.

Travis wysiadł z furgonetki, potem przeszedł przez podwójne szklane drzwi prosto w typowy rozgardiasz szpitala.

Pielęgniarka stanęła w drzwiach i wywoływała nazwiska. Nastolatek w kurtce szkolnej drużyny futbolowej i z gipsem na nodze odłożył kulę i zrobił znudzoną minę.

Travis zawahał się, rozejrzał i poczuł znajomy ucisk w żołądku, gdy ujrzał jasnowłosą głowę Mercy pochyloną nad poranną gazetą. Ależ ją kochał. Jej widok zawsze go pobudzał, a jeszcze po wczorajszej nocy...

Skrzywił się. Zachowałeś się bez klasy, powiedział sobie.

Kochał się z nią na przednim siedzeniu wozu, w pośpiechu, jak napalony nastolatek. Nieważne, że to najlepsze, co mu się w życiu przytrafiło. Pomyślał wtedy, że mógłby w tej chwili odejść do Stwórcy, szczęśliwy, że ponownie odnalazł Mercy.

Ale tej kobiecie należało się coś lepszego niż szybki numer w samochodzie. Należały się jej świece, zaloty, słodkie słówka i delikatne dłonie. Powinni spędzić razem trochę czasu, nauczyć się siebie na nowo, przekonać, że miłość jest lepsza niż przyjaźń.

I może kiedy ona to zrozumie, wysłucha jego słów, takich jak „na zawsze” i „do śmierci”. I w słowa te uwierzy.

Niestety, czas był cenny, jak zwykle dla mężczyzny, który sporą część życia spędzał w drodze.

- Trudno cię wyśledzić, skarbie.

Uniosła głowę, zaskoczona, i zarumieniła się. Miała na sobie dzinsy i luźny włosy sweter. Włosy związała w kok, a Trvisa aż palce świerbiły, by go rozwiązać.

- Travis. Co tu robisz?

- Szukam cię. Twoja matka powiedziała, że przywiozłaś sędziego na badania.

- Moja matka nic takiego by nie powiedziała. To zbyt proste.

- Ale sens był taki. - Wziął ją za rękę. - Porozmawiamy? Zerknęła na drzwi do gabinetu.

- Ojciec wyjdzie lada chwila.

- Nie potrzebuję więcej.

Podał jej rękę, a potem pociągnął przez kolejne drzwi prowadzące do holu szpitala. W tej chwili znajdowała się tu samotna telefonistka za kontuarem i rząd automatów z napojami. Travis wcisnął Mercy do kąta za jednym z nich, poza zasięgiem wzroku telefonistki.

Pachniała poranną kawą i czymś niewytłumaczalnie kobiecym. Przyparł ją do ściany, oparł dłonie po obu stronach jej głowy i pocałował ją. Miękkie wargi Mercy przyłgnęły do jego ust, a lekki pomruk w krtani przyspieszył mu bicie serca. Odstąpił, zadowolony z jej oszołomienia.

Nie chciał rozstawać się z nią wczoraj. Chętnie zostałby na całą noc w tej zimnej furgonetce, ale rozsądek i jakaś dziwna wstydlivość po chwili namiętności sprawiły, że jednak od-

wiół ją niechętnie do rezydencji Holtów. Uważał, że pozostawienie jej na progu było marnym zakończeniem wieczoru, więc postanowił postarać się, by to wrażenie nie trwało długo.

- Dzień dobry - szepnął jej do ucha.

Złapała oddech, oprzytomniała i nagle jakby uświadomiła sobie, gdzie się znajdują.

- Ktoś nas zobaczy.

- Nikt nie patrzy. Więc spokojnie mogę... - Pocałował ją znowu. - Mam wrażenie, że od wczorajszej nocy minęło tysiąc lat.

Rumieniec wpłynął jej na policzki. Zamrugła powiekami, zakłopotana.

- Musiałem się z tobą zobaczyć przed wyjazdem.

- Wyjeżdżasz? Dokąd? - Szeroko otworzyła oczy.

- Albuquerque. - Uśmiechnął się. - Wszystko spakowane do drogi. Czeka tam już parę byków z wypisanym moim imieniem.

- Aha. - Oparła się o ścianę.

- Wyjeżdżam tylko na weekend. - Owinął na palcu kosmyk jej włosów. - Wróć, zanim to zauważysz.

- Zobaczymy.

Ten wymuszenie obojętny ton nieco go zaniepokoił. Uniósł jej brodę i zmusił, by na niego spojrzała.

- Wiem, skarbie, że wiele się zdarzyło i to o wiele za szybko. I może nie tak, jak się spodziewaliśmy. Do diabła, nie o furgonetce marzyłem. Chciałem, by wszystko odbyło się jak należy: szampan i atlasowa pościel. Obiecuję, że to naprawię.

- Nie, w porządku. Ja...

Pewien pomysł przyszedł mu do głowy całkiem nagle.

- Właściwie możemy zacząć od razu. Jedź ze mną do

Albuquerque. Po rodeo obejrzymy sobie miasto. - Kpiąco uniósł brew. - Gwarantuję że znajdzie się tam porządny hotel z czystą pościelą. Co ty na to?

- Nie mogę. - Pokręciła głową. - Tata...

- Wraca do zdrowia, prawda? Na pewno da ci wolne na parę dni.

- Nie, naprawdę nie mogę. To nie jest dobry pomysł. - Jej słowa zabrzmiały nieoczekiwanie surowo.

Zmrużył oczy. Zaciśnęła dłonie w pięści i obserwowała go uważnie. W głowie zabrzmiał mu dzwonek alarmowy.

- No dobrze, o co chodzi?

- O nic. Po prostu nierozsądnie jest tak się spieszyć.

- Spieszyc? Nie nazwałbym pośpiechem piętnastu lat czekanania.

Przygryzła wargę.

- Ale nic właściwie się nie zmieniło.

- Akurat, - Stłumił przekleństwo. - Spójrz mi w oczy i powiedz, że to, co zaszło w nocy, nic dla ciebie nie znaczyło.

Przełknęła ślinę i odwróciła głowę.

- Ogarnęły nas dawne wspomnienia, to wszystko. Ale nie jesteśmy już dziećmi i sama tęsknota nie, wystarczy. Ty masz swoje życie, a ja swoje. Nie pasują do siebie, rozumiesz? Nie możemy udawać, że jakoś to się ułoży, bo ucierpimy oboje.

Jakby potężna dłoń zaciśnęła mu się na piersi. Ból i narastający gniew zabrzmiały w jego głosie.

- Tak uważasz?

- Travis, bądź rozsądny. To było szaleństwo, błąd, którego nie powinniśmy powtarzać. To jedyne rozsądne wyjście.

Doprowadzało go do szału, że próbowała racjonalizować poryw namiętności. Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do

siebie.

- Spróbuj stwierdzić, czy to ma sens.

Zmiażdżył jej usta pocałunkiem: Tkwiła sztywno w jego ramionach, nie opierając się ale blokując swoje reakcje. Wypuścił ją, rozczarowany.

- Zadowolony? - Spoglądała na niego lodowato.

- Niespecjalnie. Znowu zaczynasz uciekać, a to nigdy niczego nie rozwiązuje.

- Podejmuję decyzję, którą uważam za słuszną. - Wyprostowała się. - Mam nadzieję, że przyjmiesz ją z godnością.

- A miej sobie nadzieję, skarbie. - Pogroził jej palcem pod nosem. - Jestem tak wściekły, że mógłbym zjeść diabła z rogami, więc nie myśl nawet, że to już koniec. Jest między nami coś szczególnego i powinnaś wiedzieć, że nie sposób z tym walczyć.

- Przypuszczam, że to zależy od punktu widzenia.

- Do diabła, nie mam czasu, żeby tu paplać o zeszłej nocy tylko dlatego, że się przestraszyłaś i wolisz raczej, podwinąć ogon i uciec, niż przyznać, że nigdy nie było ci tak dobrze.

- Nie pochlebiaj sobie, kowboju - syknęła wściekle.

- Myśl o tym, póki nie wrócę. Założę się, że będziesz podniecona. - Zaśmiał się szorstko.

- Ty obrzydliwy kojocie. - Oczy jej błysnęły wściekłością. - Idź do piekła albo do Albuquerque, wszystko jedno, ujeżdżaj te swoje durne byki, ale trzymaj się ode mnie z daleka!

Travis cofnął się i skrzywił.

- Tak, może będziesz miała szczęście i skręcę kark. To by rozwiązało twoje problemy, prawda, skarbie?

Zbladła, jakby ją uderzył, ale nie czuł wyrzutów sumienia. Robiła, co mogła, by wszystko zniszczyć, i właściwie dlacze-

go? Niecił szlag trafi jej dumę i strach, niech ją diabli porwą.

Nasunął na głowę kapelusz i wybiegł. Zobaczył ją przez szybę drzwi: blada twarz i zbliżający się ojciec, spoglądający na niego z wyrzutem.

Późnym letnim popołudniem wiatr zbierał Chmury na horyzoncie, posepne, granatowe: Cały okręg czekał niespokojnie na burzę. Ściskając kierownicę, Mercy z ponurą miną obserwowała chmury. Wprowadziła kabriolet w bramę rancza Prestonów.

Pogoda nie zmniejszyła napięcia, które narastało w niej od ostatniego spotkania z Travisem. Z trudem hamowała paraliżujący ją lęk. Skręć sobie kark, pomyślała.

Wiedziała, że to irracjonalne, ale czuła się tak, jakby rzuciła na niego kłutwę, narastało w niej przeczucie nieszczęścia. Musiała wyjść z domu, szukać jakiejś ulgi.

Otarła spocone dłonie o spodnie i wyłączyła ogrzewanie. Miała wrażenie, że powtarza się sprawa z Kennym, że powraca koszmar. Travis był zły i zagniewany, jak każdy urażony mężczyzną, co znaczyło, że mógł być nieuważny.

Boże, nigdy sobie nie wybaczy, jeśli coś mu się stanie... I tak trafiła na tę drogę, jadąc do jedynych ludzi, którzy wiedzieli na pewno. Nawet nie dbała o to, że wyjdzie na idiotkę.

Skrzywiła się. Idiotka to bardzo delikatne określenie. Musiała być szalona, pragnąc Tralisa tak bardzo, że zapomniała o ostrożności. Znowu powróciła dawna, samolubna i niedbała Mercy, która kochała się w furgonetce i nie zważała na konsekwencje.

Było cudownie, pomyślała. Wspaniale i magicznie.

Ale było błędem, powiedziała sobie surowo. To błąd, po-

nieważ Travis wciąż był mężczyzną, który niemal codziennie narażał życie. Miał rację, nazywając ją tchórzem. Kiedyś już zginął bliski jej człowiek i nie chciała znowu tak cierpieć. Nie mogła oddać serca Travisowi tylko po to, by potem patrzeć, jak ginie czy zostaje okaleczony. I oczywiście zależało jej na tym kowboju. W końcu, niezależnie od wszystkiego, był jej przyjacielem.

Był, kim był, i chociaż czuła wdzięczność, że po tylu latach wreszcie oczyścili atmosferę, nie miała zamiaru ryzykować. Musi to zrozumieć. Żałowała tylko, że sama tego nie potrafi.

Zaparkowała auto przed białym wiejskim domem, wysiadła, przymykając oczy przed kłującymi kroplami deszczu. Drzwi frontowe otworzyły się i na progu stanęła Roni Preston.

Była wyraźnie niespokojna, kiwnęła na Mercy, by się pośpieszyła.

Poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Rozdygotana przeskoczyła przez śliskie stopnie.

- Co się stało? To Travis, tak?

- Travis? - Ciemne oczy Roni wyrażały zdumienie. - Co z nim?,

- Jest ranny, prawda? - Z trudem rozpoznawała własny głos

- Nie, wszystko w porządku. - Roni dotknęła jej ramienia i zmarszczyła brwi. - Dzwonił godzinę temu. Wylosował byka Black Sabbath i zgarnął nagrodę.

- Dzięki Bogu, - Mercy poczuła ogromną ulgę, oblizała wargi. - Wyglądałaś tak... tak... więc myślałam...

- Boże, jaka jesteś roztrzęsiona. - Roni Objęła ją ramieniem i pociągnęła do kuchni. - Siadaj, zanim się przewrócisz, zrobię ci herbatę. Sam pilnuje bydła, a ja ledwo chodzę, bo

Jessie ząbkuje. - Wzięła od Mercy płaszcz, gdy z tylnej części domu rozległ się płacz dziecka. - Znowu zaczyna.

- Nie powinnam ci przeszkadzać.

Roni uciszyła ją gestem i nadstawiła ucha. Po kilku szlochach zapanowała cisza. Roni sięgnęła po imbryk.

- Dobrze, ona potrzebuje snu, a ja chętnie z tobą pogadam. Cieszę się, że przyjechałaś. Boisz się o Trávisa, co?

- Przez cały dzień miałam złe przeczucia. - Lęk jeszcze nie minął, ale wzruszyła ramionami i próbowała się uśmiechnąć. To głupie.

'- Martwić się, że byk może go zabić? Nie uważam tego za głupie. - Ustawiła na stole dwa kubki pełne gorącej herbaty i talerz z ciasteczkami. - Myślę[^] że niedługo już wytrzyma.

- On uważa, że jeszcze może.

- No cóż, zdobył tę nagrodę, więc chyba ma rację. A Bóg świadkiem, że po tych kradzieżach przyda się nam trochę pieniędzy.

Mercy wypila łyk herbaty. Nie chciała przejmować się problemami Trávisa, ale musiała.

- Jest aż tak źle?

- Wystarczająco. Firma istnieje od niedawna, a Buzz wciąż jest zły, że Sam i Travis połączyli siły, żeby z nim konkurować. Jest zdolny do wszystkiego, byle usunąć nas z rynku. Uraziliśmy jego dumę. A Sam był delikatny jak niedźwiedź ze zranioną łapą.

- Pewnie ma to w genach.

- Ty to powiedziałaś. Nie mogą uwierzyć, że ktoś był tak bezczelny, żeby nas okradać... Tym bardziej że nie mogą znaleźć złodziei.

- Policja też nie miała szczęścia, co?

Roni odgryzła kawałek herbatnika i potrząsnęła głową.

- Nie. Szeryf mówi, że to może być sprawka jakichś smar-kaczy.

- A co z tym chłopcem? Z Chase'em?

- Honey rozmawiała z jego wujkiem. Dan Conly to praw-dziwy samotnika gam miewał, kłopoty z prawem, ale twier-dzi, że chłopak jest niewinny. Nie jestem tak pewna jego kumpli, lecz żadna z miejscowych firm czy giełd bydlą nie zauważyła niczego podejrzanego, Nasze byki są szybko wy-wożone, to musi być robota zawodowców.

- Szeryf w końcu znajdzie złodziei.

- Sam nie chce ryzykować z Grenadą. Jest pewien, że ten byk może nas długo utrzymywać, więc dla bezpieczeństwa ma zamiar przewieźć go na pastwisko Trvisa.

- Mam nadzieję, że wasze kłopoty się skończą. - Mercy dopiła herbatę i odstawiła kubek, - Muszę, wracać. O tej porze tata robi się tak marudny, jak twoja Jessie.

Podeszły do drzwi. Wzrok Roni był zarazem przekorny i domyślny.

- Mam powiedzieć Travisowi, że przyjechałaś tu, by sprawdzić, jak się czuje?

Mercy skrzywiła się i włożyła płaszcz.

- Jestem pewna, że troszczy się o niego wiele pań, więc nie musisz dodawać mnie do tej kolekcji.

- No cóż, zawsze był znanym podrywaczem, choć nie zauważyłam, by któraś się skarżyła. Ale ostatnio jego uwaga jest, jak by to powiedzieć, skoncentrowana.

- Nigdy nie mógł się oprzeć wyzwaniu, a wierz mi, ni-czym więcej dla niego nie jestem,

- Nie byłabym taka pewna. Gdy patrzy na ciebie...

- Interesuje go polowanie - odparła Mercy. - Nie wiedziałby, co zrobić, gdyby mnie usidlił. A ja mam dość rozsądku, żeby nie wplątywać się w związek z człowiekiem, który prosi się o wypadek. Zresztą kowboj jest jak motyl: zapomni o mnie, kiedy tylko wrócę do Fort Worth.

- A kiedy wracasz?

Mercy chciałaby powiedzieć dziś, jutro, zanim Travis wróci. Bała się następnego spotkania. Wiedziała jednak, że wyjazd do miasta byłby przyznaniem, że naprawdę ucieka. Nie, musi jeszcze zostać przez parę dni.

- Wyjadę zaraz po Święcie Dziękczynieniu - odparła. - Tata dochodzi do siebie, a ja muszę wracać do pracy. - Zastanawiała się, dlaczego ta perspektywa tak mało ją pociąga.

Roni była wyraźnie rozczarowana.

- Miło było gościć cię w moim domu. Przyjdiesz na nabożeństwo?

- Mama mnie do tego zachęcała.

- Nie uwierzysz, ale śpiewam w chórze.

Mercy roześmiała się.

- W takim razie na pewno nie przegapię okazji.

- Aha, Mercy. Travis to najporządniejszy facet, jakiego znam. - Pivne oczy Roni były pełne ciepła i zrozumienia.

- Nie oceniaj go źle. Siebie również.

Co za paskudna sytuacja, myślał Travis. Wracał do miasta z czekiem wystawionym na okrągłą sumę w kieszeni, jako bohater i zdobywca, a jedyne, co mógł zrobić, to kupić leki przeciwbólne i położyć się do łóżka. Samotnie.

Powoli wysiadł z furgonetki przed apteką w poniedziałkowe popołudnie. Dzień był wilgotny i chłodny. Travis za-

ciskał zęby przy kolejnych atakach bólu. W Albuquerque nawet nie oberwał tak bardzo. Mercy z pewnością by stwierdziła, że tak wiele urazów musi w końcu wyrzucić podobny skutek. Ale wolałby raczej walczyć z pumą, niż dać jej tę satysfakcję.

To wystarczało, by odebrać człowiekowi apetyt i skłonić do myślenia o przyszłości. Zrobi to, jak tylko ustanie ból.

Wszedł do apteki, wybrał różne środki przeciwbólowe dostępne bez recepty i podszedł do lady. Stała tam grupa nastoletnich chłopców - tych samych, których widział na meczu, nie wyłączając tego małego łobuza, Chase'a.

Missy Armitage, ładna, jasnowłosa sprzedawczyni, zdmuchnęła z czoła kosmyk włosów i ściągnęła wargi.

- Czy tym razem jesteście pewni, że to już wszystko?

Osiemnastolatek z gębą buldoga rzucił na ladę przy kasie otwartą torebkę chipsów.

- Nie płacę za nie. Są stęchłe.

- Niemożliwe. Przecież je zjadłeś- zaprotestowała Missy.

- Myślałem, że klient ma zawsze rację, Missy. - Nastolatek wyszczerzył zęby i pogłaskał dziewczynę po ramieniu.

- Łapy przy sobie, Clayton. - Odskokzyła.

- Czy ci dowcipnisie ci przeszkadzają, skarbie? - spytał Travis. Mówił spokojnie, ale patrzył surowo.

Wyminął ich i ustawił swoje buteleczki na ladzie. Kilku chłopców przestąpiło z nogi na nogę. Clayton wyprostował się i zrobił groźną minę, jakby mówił „tylko spróbuj mnie zaczepić”.

- A może, chłopcy, zapłacicie pani i znikniecie? - zaproponował Travis. - Ma innych klientów.

- Nasze pieniądze są tak dobre jak twoje - warknął Clay-

ton.

- Więc użyj ich, kolego, zanim stracę resztki dobrego humoru.

Calyton spojrział mu w oczy i uznał, że nie podoba mu się to, co w nich zobaczył. Wymruczał coś i rzucił na ladę kilka banknotów. Missy z wdzięcznością spojrzała na Travisa.

Travis zerknął na Chase'a. Chłopak był chudy, ciemnooki i bardzo chciał wydawać się doroślejszy. Travis pamiętał to uczucie.

- Związałeś ze szkoły, Chase?

Rumieniec wpełzł na piegowate policzki chłopca. Obejrzał się na kolegów, potem wyprostował ramiona i parsknął.

- Przyjechał pan z Marsa? Przecież mamy tydzień ferii.

- I nie macie nic innego do roboty, niż przeszkadzać tej pani? Tak oto zanikają dobre obyczaje Dzikiego Zachodu. - Travis zmrużył oczy. - Znów kręcicie się koło mojego rancza?

- Nie, dlaczego? - Chase zaniepokoił się,

- Znowu straciłem parę sztuk bydła. Może zauważyliście jakichś intruzów?

- Nie, nic nie widzieliśmy. - Clayton zgarnął resztę do kieszeni i pchnął Chase'a do wyjścia. - Chodźmy, mamy lepsze rzeczy do roboty, niż gadać z połamanymi eks-kowbojami.

Travis wsunął kciuk za pas i spoglądał za nimi. Ten chłopak był bliższy prawdy, niż miał ochotę to przyznać. Co nie znaczy, że musie to podobało.

- Dzięki, Travis - powiedziała Missy.- Ta banda zawsze działa mi na nerwy. Starają się udawać twardzieli. - Wskazała na lekarstwa. - To wszystko?

Miał ochotę powiedzieć „tak”, ale mrowienie w krzyżu kazało zapomnieć o dumie.

- Lepiej daj mi jeszcze raz to samo, co było na ostatniej recepcie doktora Hazeltona.

- Jasne. - Uśmiechnęła się. - Zaraz przyniosę.

Czekając, Travis gładził wąsy i myślał o Chasie, Dostrzegł w nim napięcie, które źle wróżyło. Chęć odgrywania twardego w towarzystwie starszych kumpli z pewnością wpakuje go w kłopoty. Jeśli to już nie nastąpiło. Mógłby przysiąc, że chłopak wie coś o skradzionym bydło. Może warto by zadzwonić do Honey.

- Proszę. - Missy wręczyła mu plastikową torebkę. - Dopisałam te leki do twojego rachunku.

- Dzięki. Żegnam. - Dotknął runda kapelusza i próbował wyjść tak, by nie zauważyła utykania.

Parę dawek leku i okład z lodu na plecy na pewno mu pomoże. Musi wrócić do formy, bo wciąż czekało go starcie z upartą kobietą.

Tak, on i Mercy muszą pewne sprawy sobie wyjaśnić. Kiedy tylko minie ten uporczywy bok

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Dobry Boże, dziewczyno! Po diabła tak wcześnie wstałaś?

Z drzwi gabinetu Jonathan ze zdziwieniem przyglądał się córce.

- Wypadek na traktorze. - Mercy, w poplamionym błotem swetrze, przystanąła u stóp schodów. Brudne tenisówki zostawiały plamy na marmurowej posadzce. Wiedziała, że naraża się na gniew Daisy, nanosząc do holu błoto w przeddzień Święta Dziękczynienia. - Przyjechałam karetką.

- Wyglądasz, jakbyś to ty miała wypadek.

Mercy przeczesała palcami rozpuszczone włosy i pokręciła głową.

- Nie ja, Ben Honicutt oberwał, ale myślę, że wyjdzie z tego.

- Miło to słyszeć. - Jonathan uniósł brwi. - Od trzech dni pracujesz niczym bóbr przy tamie, ale może poświęciłabyś mi minutkę? Napijesz się kawy?

Zerknęła na zegarek i poszła za ojcem do gabinetu.

- Doktor zapisał mnie na domową wizytę...

Zamilkła, Widząc trójkę gości, siedzących wokół mahoniowego: biurka. Honey Jones była trochę bladą, a na jej twarzy malował się niepokój, Obok siedzieli Sam Preston i Travis, obaj w kowbojskich koszulach i kamizelkach. Kiedy Mercy weszła, obaj wstali i przywitali się z nią.

- Dzień dobry, Mercy. Roni wspominała o twojej wizycie.

- Cześć, skarbie.

Mercy przełknęła ślinę, zaskoczona lodowatym tonem Trávisa. Nie wyobrażała sobie, że te brązowe oczy mogą być tak zimne i gniewne. Wyrzuty sumienia i lęk zalały ją jak fala sztormu.

Była zbyt zajęta, żeby o tym myśleć. Miała do wykonania tysiące zleceń matki, a potem harowała jak wół, by pomóc doktorowi Hazeltonowi. Czy może coś na to poradzić, że przez ostatnie kilka dni wiecznie się spieszyła? To pech, ale po prostu nie miała czasu ani okazji, by odpowiedzieć na telefony Trávisa. Daisy mówiła, że wczoraj szukał jej nawet osobiście, ale naturalnie nie zastał jej w domu. Przecież nie unikała go celowo. Tak to jest z zapracowanymi ludźmi.

Prawda polegała na tym, że uciekała, pędziła jak chomik w kołowrotku, robiła wszystko wszędzie, byle uniknąć spotkania z Travisem, które niczego by nie zmieniło.' Wiedziała o tym. On też wiedział. I ta taktyka była skuteczna. Aż do teraz.

- Ja... przepraszam - wyjąkała Mercy, cofając się. - Nie wiedziałam, że masz gości. Nie będę przeszkadzać...

- Nonsens - odparł Jonathan, wziął ją pod rękę i usadził na krześle między Travisem i Honey. - To zebranie grupy operacyjnej. Wiesz, że ktoś kradnie bydło Kinga i Prestona?

- Tak, słyszałam, ale...

- Więc Travis zauważył w pobliżu rancza bandę nastolatków, a Honey rozmawiała z nimi...

- Przynajmniej z niektórymi - wtrąciła Honey. - To nie znaczy, że nie radzę sobie z ich drobnymi wybrykami. Ale ostatnio dostałam niepokojące meldunki, że Clayton z kumplami szastają forszą na prawo i lewo. A przecież zwykle nie

mają grosza przy duszy.

Mercy zerknęła na Trávisa, a potem na ojca.

- Masz dowód, że to oni kradną bydło?

Jonathan pokręcił głową.

- Jak dotąd, to tylko podejrzenia. Ale jeśli się okaże, że chłopcy są w to wmieszani, to mamy do czynienia z poważniejszą sprawą. Pracowałeś z tymi przestępczymi grupami młodzieżowymi, prawda? Proszę cię, Mercy, byłbym wdzięczny za radę.

Mercy otworzyła usta, zdumiona. Zaproszenie, by uczestniczyła w tak ważnej sprawie, i to nie jako „córunia tatusia”, lecz jako dorosła osoba, która może pomóc? I chociaż miała ochotę zniknąć stąd, by nie widzieć pełnego wyrzutu wzroku Trávisa, szansa na porozumienie z ojcem była okazją, z której nie mogła zrezygnować.

- Chętnie pomogę, jeśli zdołam - zapewniła.

- Zawsze przyda się świeże spojrzenie - rzekł sędzia. Nałkawy do filiżanki i wręczył ją Trávisowi, by ten podał ją Mercy.

Ich palce zetknęły się na chwilę. Wiedziała, że zrobił to świadomie, żeby odebrać jej spokój.

- Dzięki - powiedziała obojętnie i uniosła filiżankę do warg.

- Nie ma sprawy - odparł uprzejmie.

Wypiła zbyt duży łyk gorącego płynu i sparzyła się język..

- Ostrożnie, bo zrobisz sobie krzywdę - mruknął Travis.

Patrząc przed siebie, Mercy wypiała kolejny łyk, by mu udowodnić, że się myli.

- Szkoda, że nie ma żadnego sposobu sprawdzenia, czy ci

chłopcy rzeczywiście kradną nam bydło - powiedział Sam.
- Bo może niepotrzebnie marnujemy czas. Musi być jakieś słabsze ogniwo.

- Chase Conly - wtrąciła Honey. - Jest najmłodszy, zaczynał mi ufać, zanim to wszystko się zaczęło. Ale teraz...

- Poprawiła okulary na nosie. - Mogłabym przysiąc, że coś ukrywa.

- Pamiętam, że jego wujek miał jakiś proces parę lat temu - powiedział sędzia. - Napad i pobicie? Zapomniałem. Pewnie nie zechce nam pomóc?

- Dan Conly jest równie małomówny jak Chase - stwierdziła Honey. - To u nich chyba cecha rodzinna. Przygarnął siostrzeńca, gdy nikt inny nie chciał się nim zająć. Ale wrogość to najlepsze określenie sposobu, w jaki się do mnie odnosi, kiedy chcę z nim rozmawiać o problemach Chase'a.

- Wchodzi też w grę sporo dumy i trochę strachu - wtrącił Travis.

- Chciałabym, żeby udało się jakoś dotrzeć do tych chłopców. - Honey pokiwała głową. - Pieniądze i przygoda mogą być motywacją kradzieży bydła, ale żaden z tych smar-kaczy nie przypuszcza, że skończy w więzieniu:

- Może wykorzystać część funduszy Oddziału Porządkowego, żeby zatrudnić tych chłopców do jakichś prac publicznych - zaproponowała Mercy. - Niech uporządkują park albo pozamiatają ulice. W Fort Worth w ten sposób rozwiązywaliśmy podobne problemy.

- To niezły pomysł. - Jonathan pstryknął palcami. - Pozwólmy, by mieli jakieś osiągnięcia, z których będą dumni. Zapłaćmy im trochę, równocześnie trzymajmy z daleka od zagrożeń

- To rzeczywiście ma sens - stwierdziła Honey. - A park naprawdę trzeba wreszcie uporządkować. - Uśmiechnęła się do Trávisa. - A może mistrz rodeo nam pomoże? Obiecuję, że nie będzie żadnego gipsu i temblaków. Chłopcy będą zachwyceni.

Travis uśmiechnął się pod wąsem.

- Dla ciebie, skarbie, wszystko.

- To dobrze. - Honey odpowiedziała mu uśmiechem, choć wyglądała na trochę oszołomioną.

Mercy poczuła się nagle zazdrosna o tę kobietę. Zaskoczona i zmieszana, ukryła swoje uczucia, odstawiając filiżankę na biurko. Ogarnął ją wstyd. Jak mogła najpierw odpychać Trávisa, a potem mieć ochotę wydrapać oczy niewątpliwie niewinnej kobiecie, na którą zwrócił uwagę i nazwał „skarbem”? Opanowała się z wysiłkiem.

Odnalazła nie spokój, lecz odrętwienie. Zrozumiała, że musi porzucić myśli o związku, który i tak nie trwałby zbyt długo.

- A gdyby stłuc ich tak, by w końcu powiedzieli prawdę? - burknął Sam. - Byłoby szybciej i może ocalilibyśmy sztukę czy dwie najlepszego bydła.

Jonathan zaśmiał się, widząc minę ranczera.

- Wiesz, Sam, nie sądzę, by konstytucja na to pozwalała.

- Szkoda. - Sam uśmiechnął się smętnie. - Chciałbym dobrać się do tych smarkaczy.

- Posłuchaj - wtrąciła Honey. - Przycisnę Chase'a i paru innych i zobaczę, co da się wykryć.

- A na razie - dodał Jonathan - musimy z Mercy omówić parę szczegółów tego programu z Fort Worth.

- Kiedy wracasz, Mercy? - spytała Honey.

- W piątek. - Nagle głos uwiązał jej w krtani. Widziała, jak Travis napina mięśnie pod czarną koszulą. Z wymuszonym uśmiechem mówiła dalej. - Mój tata czuje się coraz lepiej, a ja chciałabym już wrócić do siebie i do szpitala. Skontaktuję się z odpowiednimi osobami i jak najszybciej przekażę ci informacje.

- Dzięki. Wszyscy żałujemy, że wyjeżdżasz - zauważyła Honey.

Chcąc jak najszybciej uciec, Mercy zerknęła na zegarek.

- Przepraszam was, muszę się przebrać i jechać do pani Rubin.

- I tak już właściwie skończyliśmy nasze obrady - oświadczył sędzia i wszyscy wstali.

Ucieczka prawie się udała, lecz Travis dogonił ją na schodach. Zamarła, czując jego dłoń na ramieniu.

- Puść mnie, Travis.

Nie chciała spojrzeć mu w twarz.

- Skarbie, wcześniej czy później musimy porozmawiać.

Zapięły ją oczy. To zmęczenie, wytłumaczyła sobie. Nic więcej.

- Ale po co?

- Ależ jesteś uparta.

- Puść mnie - poprosiła. - Mam ważne sprawy do załatwienia.

- Jasne. - Odwrócił ją i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Proszę cię bardzo, wracaj do swoich obowiązków, dzięki którym nie masz czasu myśleć o czymkolwiek innym.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Na pewno wiesz. Jak myślisz, dlaczego ciągle uciekasz?

- Ja wcale...

- Kłamiesz. - Puścił ją i skrzywił się ze wzgardą i litością.
- No dobrze, zrobię, jak chcesz. Ale prawda jest taka, że jeśli braknie ci odwagi, żeby dać nam szansę, zostaniesz sama.
Słowa Trvisa poruszyły ją mocno i nagle przestraszyła się, że on może mieć rację. Wówczas uciekła.

- Masz zamiar w tym iść?

Mercy wrzuciła do pojemnika brudne ubranie. Spojrzała na matkę, usiłując zachować spokój, który z takim trudem odzyskała.

- Przynajmniej jestem czysta, a pani Rubin nie będzie przeszkadzało, że mam na sobie dzinsy. Muszę iść.

Nachylona nad kuchennym stołem, Joycelyn wsunęła kolejny klonowy liść w przygotowywany na Święto Dziękczynienia bukiet i spojrzała na córkę krytycznie.

- Nie wyglądasz na profesjonalistkę.

- Daj dziewczynie spokój - powiedział Jonathan, wchodząc do kuchni. Usiadł na krześle i sięgnął po gazetę. - Wygląda świetnie, jak zawsze,

- Dzięki, tato - Mercy wzięła walizeczkę i pocałowała go w policzek. -I dziękuję, że zwróciłeś się do mnie po radę. To dla mnie bardzo ważne.

- To ty robisz nam przysługę, kochanie,

- Jak tylko wrócę, zadzwonię do szefa programu. Ale musisz mi obiecać, że będziesz się oszczędzał.

- Tak, jak ty w tej chwili? Sama wiesz, że jesteśmy do siebie podobni Zapamiętaj, że przepracowanie doprowadza cię nie zawsze tam, gdzie byś chciała. - Spojrzał na nią znad gazety. - Może lekarz powinien wysłuchać rady własnego ojca i poszukać w życiu odrobiny równowagi?

W głowie obijały się echem słowa Trávisa: ucieczka, pustka. Praca była jedynym sposobem, by zapanować nad chaosem uczuć.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, ale spróbuję - skłamała. Matka spojrzała na nią badawczo.

- Bzdura, Gdy tylko wrócisz do Fort Worth, znów będziesz się zapracowywać na śmierć i rzadko nas odwiedzać.

- Joy z niezwykłą gwałtownością wbiła w bukiet ostatnią gałązkę. - Ale przynajmniej nie będziesz miała czasu dla tego nicponia Trávisa.

- Joy! -Jonathan rzucił gazetę na stół. - Dość tego. Joycelyn niespodziewanie zarumieniła się.

- Tylko dlatego, że żywię pewne aspiracje związane z moją córką...

- Mercy jest dorosłą kobietą i sama podejmuje decyzje dotyczące towarzystwa, w jakim się obraca.

- Masz rację, tato, dziękuję. - Mercy odchrząknęła. - A ty, mamó, możesz być spokojna. Nie widuję się z Trávistem, jest tylko moim starym przyjacielem. Gdy wrócę do Fort Worth, wątpię, czy nasze drogi znów się skrzyżują.

- Mam nadzieję, że nie z powodu tego, co uczyniliśmy lub powiedzieliśmy. - Sędzia wbił ręce w kieszenie swetra i zrobił groźną minę. - Zachowywaliśmy się jak para pompacyjnych durni, kiedy w dawnych latach martwiliśmy się o pozycję towarzyską twoich znajomych.

- Jesteśmy rodzicami - oświadczyła Joycelyn. - Co w tym złego, że chcieliśmy dla naszego dziecka jak najlepiej?

- To był błąd, że nie ufaliśmy opinii Mercy, Chłopcy Prestonów byli i są świetnymi młodymi ludźmi. Już najwyższy czas, byśmy przestali się wtrącać w jej życie osobiste.

- Nie nazwałabym matczynej troski wtrącaniem się, Jonathanie, - Joy z surową miną chwyciła bukiet i ruszyła do drzwi. - Przepraszam, muszę odnieść to do kościoła przed nabożeństwem.

- Mamo...

Joy zniknęła za drzwiami. Mercy chciała biec za nią, ale powstrzymał ją sędzia.

- Nie, daj spokój. Za chwilę się uspokoi. - Jonathan westchnął i pokręcił głową. - Twoja matka to dobra kobieta, ale nie pozwól, by czyjeś oczekiwania powstrzymały cię od wyboru własnej drogi.

- Wiem o tym.

- Naprawdę? - Ojciec ujął Mercy za rękę. - Słuchaj, matka cię kocha i chce dla ciebie jak najlepiej. Ale jeżeli będziesz szczęśliwa, pogodzi się ze wszystkim. Jeśli więc znalazłaś coś cennego, nie pozwól, by ci uniknęło.

- Jak się dziś czuje pani Rubin?

- Jest umierająca.

Mercy usiadła obok matki na ławce w kościele metodystów. Kościół był pełen ludzi przybyłych na nabożeństwo w dniu Święta Dziękczynienia. Chór mieszany, w którym śpiewała Roni Preston, ustawił się już na górze, a kilku eklezjastycznych kapłanów siedziało za pulpitem. Przy akompaniamencie cichych dźwięków preludium organowego nastoletnie dziewczynki wręczały programy ozdobione rysunkami przedstawiającymi dynie i indyki.

Mercy uśmiechnęła się. Musiała przyznać, że Flat Fork nie jest tak paskudnym miasteczkiem, jak sądziła przez lata.

Więcej nawet, nie było innego, które by tak dokładnie paso-

wało do jej ideału. Zastanowiła się z roztargnieniem, kiedy zdała sobie z tego sprawę,

- Przykro mi słyszeć, że źle się czuje - stwierdziła Joy, ubrana w elegancki, zimowy biały kostium. - A jej rodzina?
- Wciąż próbują udawać, że wszystko będzie w porządku.
- Mercy wygładziła suknię.
- Wszyscy radzimy sobie z tym na swój sposób - mruknęła Joy.

Mercy kiwnęła głową. Patrząc, jak spóźnialscy przechodzą między ławkami, myślała o pani Rubin, umierającej, a jednak pogodzonej z losem.

- Ale w pewnym momencie trzeba spojrzeć prawdzie prosto w oczy, skarbie.

Mercy zacisnęła wargi. Tkwił w tym jakiś ważny przekaz... Gdyby tylko mogła go rozszyfrować poprzez chaos targających nią emocji.

Jakiś dziwny skurcz w miejscu, gdzie luźny kok osłaniał szyję, kazał jej się obejrzeć. Charakterystyczny głos Travaisa dobiegł do niej przez cichy gwar. Zadrżała. Czy nigdy nie uwolni się od tych mimowolnych reakcji, tych odruchów serca, sprzecznych z rozumem?

W nadziei, że Travis jej nie zauważy, spuściła wzrok. W garniturach i krawatach Travis i Sam, przechodzili wzdłuż ławek. Sam z małą Jessie na rękach usiadł w ławce po drugiej stronie. A kiedy Travis odwrócił się, by przytrzymać wierzącego się malucha, rzucił w stronę Mercy spojrzenie, które mówiło, że dokładnie wie, gdzie siedzi, i zna też jej najtajniejsze myśli.

Mercy zacisnęła dłonie na kolanach. Pastor rozpoczął inwokację i wszyscy wstali. Joycelyn zmarszczyła brwi.

- Dobrze się czujesz?
- Oczywiście -szepnęła Mercy. - Dlaczego pytasz?

Joy zerknęła na mężczyzn siedzących po drugiej stronie, ale nic nie powiedziała. Zaczęło się nabożeństwo. Mercy wykonywała niezbędne gesty, nie zwracając większej uwagi na to, co się wokół dzieje. Kapłani wygłosili kazania, a chór zaśpiewał „Przyjdźcie do mnie, dzieci boże”.

Kruczowłosa głowa Trvisa jak magnes przyciągała jej wzrok. Obudziła się w niej tęsknota, utrzymywany siłą woli mur zadygotał.

Kiedy Travis, trzymając na kolanach Jessie, pochylił się nad nią i wywołał uśmiech na jej buzi, Mercy miała uczucie, że za chwilę oszaleje z miłości.

Mur runął. To co jej ojciec, Roni, a nawet pani Rubin dostrzegali i sugerowali, stało się jasne, gdy tylko przestała walczyć. Kochała Trvisa, kochała go, odkąd skończyła osiemnaście lat. Ta wiedza nie przyniosła ukojenia. Niczego nie zmieniła.

Lecz przeraziła ją śmiertelnie.

Gdyby bowiem poszła za głosem serca, była pewna, że Travis je złamie, a wiedziała, że nie przeżyłaby tego po raz drugi. Przymknęła oczy. On wciąż przefruwał z kwiatka na kwiatek, żył dla ośmiu sekund napięcia. I to się nie zmieni.

I chociaż w izbie przyjęć nie znała lęku, udowodniła, że w sprawach serca jest tchórzem. Wiedziała, że jeśli pozwoli sobie kochać Trvisa, to jej uczucie będzie trwało do końca życia. A kiedy on się znudzi i odejdzie od niej lub odwróci się od niego szczęście na rodeo i straci życie, ją czeka potworne cierpienie. To by ją zniszczyło.

- Masz ręce zimne jak lód. - Joy wyjęła z jej z dłoni

modlitewnik i wsunęła go na półkę w oparciu ławki. - Chyba jesteś przeziębiona.

Mercy uświadomiła sobie, że nabożeństwo dobiegło końca. Ostatni psalm odbijał się echem w kościele, a ludzie zaczęli opuszczać świątynię.

- Jestem tylko trochę zmęczona, mam - wymamrotała Mercy. Wstała, wzięła płaszcz i wyszła z ławki. - Miałam ciężki dzień. Wracajmy do domu.

- Dobry wieczór paniom. Piękne było dziś nabożeństwo, prawda? - Sam usadził sobie Jessie na ramieniu i obciągnął brzeg jej sukieneczki.

Travis stał przy nim. Oczy mu błyszczały, gdy oceniał wzrokiem wypukłości podkreślane przez obcisłą suknię Mercy.

- Cudownie dziś wyglądasz, skarbie.

- Dziękuję. - Poczowała ostre ukłucie bólu.

- Istotnie było wyjątkowo udane, panie Pres... Sam - odparła Joycelyn. Błękitne oczy spojrzały łagodnie na czarujące rudowłose maleństwo. - Ojej, ale urosła.

- Jak oset. - Roni podeszła do nich, wciąż w błękitnej atlasowej szacie chórzystki. Razem ruszyli do tylnego wyjścia. - Co sądzisz o naszym chórze? - spytała męża.

- Gromada słowików - zażartował Sam.

Roni ze śmiechem odebrała mu córkę. Wyszli z kościoła na szerokie schody. W powietrzu czuło się już zimowy chłód. Mercy włożyła płaszcz.

- W sali podają kawę i moje słynne kukurydziane ciasteczka - oznajmiła Roni, - Idziecie?

- Obiecałam Grace, że jej dzisiaj pomogę - odparła Joy - ale Mercedes jest zmęczona, Panie King, czy zechciałby pan

odwieść Mercy do domu?

Travis i Mercy spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Mamo, nic minie jest, naprawdę...
- Z przyjemnością, proszę pani.
- Nie warto kłopotać Travisa. - W głosie Mercy zabrzmiała

rozpacзлиwa nuta.

- To żaden problem, muszę tylko coś sprawdzić...

- To dobrze - rozpromieniła się Joycelyn.

Mercy pochyliła ku niej zarumienioną twarz, tak że tylko matka mogła ją słyszeć.

- Mamo, co ty wyprawiasz?

Cichy tajemniczy głos kobiety wyrażał wyzwanie i zachętę.

- Nigdy się nie dowiesz, jeśli nie pojedziesz, prawda?

Zaskoczona i zaniepokojona działaniem matki, Mercy poczwała, jak Travis bierze ją pod rękę.

- Zaopiekuję się nią, pani Holt - obiecał.

- Tak, wierzę panu. - Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Mamo... - jęknęła Mercy. Serce biło jej mocno.

- Wróć do domu, jak tylko z Grace uporamy się z pracą w kuchni. Nie czekaj na mnie, Mercy. - Joy szybko podążyła chodnikiem w stronę jasno oświetlonej sali.

- Przepraszam! Nie wiem, jak cię w to wrobili - powiedziała Mercy, gdy Travis odprowadził ją do samochodu i pomógł wsiąść.

Drżąca i rozgorączkowana równocześnie, nie potrafiła zapomnieć tego, co się działo, gdy poprzednio siedziała w tym samochodzie. Z trudem nad sobą panowała.

- Powiedziałem, że to żaden problem. - Spojrzał na zegarek i wyjechał na główną drogę. - Mam nadzieję, że nie będzie ci to przeszkadzać, ale obiecałem, że o tej porze zobaczę

się z Angelem. Mam wrażenie, że zamierzają ukraść naszego nowego byka i zanim wyjadę na weekend, chcę się upewnić, czy wszystko w porządku.

- Jakieś kłopoty?

Wzruszył ramionami.

- Nie chcieliśmy już teraz sprzedawać Grenady. Jest dziki i zły, więc wolałbym jeszcze trochę nad nim popracować. Ale zostało nam tylko tyle bydła, by wywiązać się z kontraktu z Mesquite Rodeo.

- Ach, rozumiem.

- Nie musisz być taka przerażona. - Spojrzał na nią i skrzywił się. - Nie rzucę się na ciebie. W każdym razie nie bez twojej zgody.

- To ładnie z twojej strony - odparła zduszonym głosem. Zaśmiała się smutno.

- Uczę się na własnych błędach. Już jesteśmy.

Przejechali długim podjazdem na rancho, minęli dom pod pośepnym całunem bezlistnych drzew, a potem skręcili w stronę ogrodu przy czerwonej stajni. Angel stał obok przyczepy oznaczonej logo firmy, podniósł rękę na przywitanie. Reflektory ciężarówki rozświetlały mrok.

- Zaraz wracam. - Travis otworzył drzwi i podszedł do Angela.

Lecz Mercy patrzyła tylko na potężne, rozzłoszczone zwierzę w zagrodzie. Nieczęsto znajdowała się tak blisko wielkiego byka, zwłaszcza takiego, którego jedynym celem w życiu było rozdeptać na miazgę aroganckiego kowboja. Przyciągana niezdrową fascynacją, wysliznęła się z furgonetki i poszła za Travisem.

Zaglądając przez ogrodzenie, patrzyła, jak byk parska, tu-

pie i biega dookoła. Śluz kapał mu z nozdrzy, kiedy atakował rogami wyimaginowanych wrogów. Mimo zimnego powietrza, zapach ciepłej skóry i potu wściekłego byka był ostry i duszący.

Drżąc, Mercy podniosła kołnierz. Ale to nie zimno jej dokuczało, raczej przerażająca rzeczywistość, która teraz do niej dotarła. Travis narażał się na niebezpieczeństwo, podejmując ryzykowne decyzje za każdym razem, kiedy startował, A widok tego ogromnego, zwierzęcia właśnie jej to uświadomił.

Travis i Angel, wciąż dyskutowali przy ogrodzeniu. Mercy odwróciła się, przyciskając dłoń do żołądka. Zbierało jej się na wymioty. Oddychała głęboko. Szukając odosobnienia, podeszła do pachnącej sianem stajni i wsunęła się do środka.

Latarnia na słupie na zewnątrz i reflektory ciężarówki dawały dość światła, żeby można było trafić do boksów. Chwycała szczyt drewnianych wrót i przycisnęła czoło do zacisniętych dłoni, walcząc z lękiem i złością. Miała rację: nie była dość silna i odważna, by żyć z ciągłą świadomością, że następna jazda Travisa może być ostatnią. Nawet idiotka, byle z odrobiną instynktu samozachowawczego, rzuciłaby się do ucieczki,

Z ciemności dobiegł warkot silnika ciężarówki, a potem wielki koń Travisa zarżał cicho. Dłonie Travisa odnalazły jej ramiona. Zacisnął palce i poczuł, że ciałem Mercy wstrząsa dreszcz.

- Skarbie? O Boże, co się stało?
- Zostaw mnie, Travis - poprosiła niepewnie.
- Nie mogę. - Głos miał chrapliwy z bólu, odwrócił Mercy do siebie i objął jej twarz dłońmi. - Bóg mi świadkiem, że nie mogę.

- Dlaczego?
- Bo cię kocham. Na Boga, czy jesteś ślepa? - Pochylił się nad nią w ciemności, oczy błyszczały mu niepokojąco.
- Zawsze cię kochałem, od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem. I przez ten czas nic się nie zmieniło. I już się nie zmieni. O Boże...- Mercy poczuła się przytłoczona tym, co usłyszała.
- Co ja mam teraz zrobić? - jęknęła.
- Prosta sprawa, skarbie. Wyjdź za mnie,

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zrobił to. Spalił za sobą mosty. Zapędził Mercy do narożnika. To błąd. Katastrofa.

Czuł, że Mercy drży niczym trzcina na wietrze. Wyraz jej twarzy wzbudził lęk w jego sercu.

- Och, Travis.:

- Czy to nie wchodzi w grę? - spytał chrapliwie. Musnął kciukiem drżący kącik jej ust. - Żyć ze mną, mieć dzieci, założyć rodzinę?

- Sam nie wiesz, o co prosisz.

- Chcę, żebyś została moją żoną. - Przesunął dłońmi po jej ramionach, pochylił głowę i pocałował Mercy delikatnie.

- Wiesz, póki śmierć nas nie rozłączy - wymruczał.

Drgnęła, jakby ktoś ją uderzył. W jej głosie brzmiało przeżalenie.

- Nie mogę.

Koń Trávisa zatupał i parsknął cicho za jej plecami.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- To to samo.

- Akurat.

- Wiesz, że to się nie uda.

- Strach przez ciebie przemawia.

- Tak. - Nie mogła zaprzeczyć. - Nie możemy zmienić tego, kim jesteśmy.

- Nie o to pytam.
- Nie? - Mercy drżała. - Ryzykujesz życie za każdym razem, kiedy bierzesz udział w rodeo, I chcesz, żebym się z tym pogodziła, żebym cię kochała. Ale jeśli się zgodzę, a potem cię stracę... - Pokręciła głową. - To byłoby straszne.
- Tylko o to chodzi? - Uśmiechnął się z ulgą i pogładził ją po włosach. - Nie martw się, niebieskooka, poradzę sobie z tym.
- Ale ja nie potrafię. A gdybym cię poprosiła, żebyś zrezygnował z występów? Teraz, natychmiast?
Zawahał się.
- Dlaczego teraz? Przecież i tak nie mogę robić tego przez całe życie.
- No widzisz? - Głos jej drżał.
- Do diabła, to niesprawiedliwe.
- Jesteśmy nałogowcami, Travis, uzależnionymi od tych dawek adrenaliny, które daje nam praca. Zmieniając swoją pracę, byłabym równie nieszczęśliwa jak ty.
- Poczuł się nagle tak, jakby dołączył do niej w tym ciasnym zaułku bez wyjścia.
- Mógłbym ją zmienić, jeśli to konieczne.
- Pozwolisz, by mój strach zmusił cię do decyzji, którą uważasz za niesłuszną, a potem twoje wyrzuty zniszczą to, co nas łączy? Nie, nie chcę tego dla żadnego z nas.
- Więc co nam pozostaje, Mercy? Gzy to wszystko było spotkaniem dawnych przyjaciół po latach?
- O Boże, nie. - Wstrzymała oddech, położyła mu dłoń na piersi, czując bicie jego serca. Samotna łza ściekła jej po policzku. - Nie zniosłabym, gdybyś w to uwierzył.
- Przestań. Wiesz, że nie mogę patrzeć, jak płaczesz. Ni-

gdy nie mogłem. Och, do diabła.

Travis jęknął, przyciągnął ją bliżej i objął wargami jej usta. Ogarnęła go fala pożądania.

Mercy dotknęła jego twarzy, kiedy się odsunął, i przesunęła palcami po jego włosach.

- To. - Jej głos drżał. - To właśnie pozostaje, Travis.

Nadzieja i rozpacz ogarnęły Trávisa.

- Tak – wymruczał- dotykając czubkiem języka jej palców.

- Jedyne, co możemy zrobić, to wziąć to, co nam dano. Tylko głupcy proszą o więcej.

- Więc jestem cholernym głupcem, skarbie, i zrobię wszystko, byś i ty nim została.

Chwycił ją na ręce i wyniósł ze stajni do mrocznego domu. Zapalił światło w korytarzu, trafiając łokciem w kontakt. Obejmowała go za szyję, trwając w bezruchu, póki nie postawił jej na podłodze w sypialni. Potem zrzuciła z siebie płaszcz i zdjęła Travisowi marynarkę.

Przez materiał sukni Travis pochwycił ją za piersi. Odpowiedziała urywanym westchnieniem. Twarde jak guziki sutki napinały miękką tkaninę. Gładził ciężkie półkule, muskał ustami delikatną linię szyi. Krew w nim płonęła.

Ściągnęła mu krawat i rozpięła koszulę, przesuwając smukłe palce po torsie. Travis szybko zdjął koszulę i ponownie pocałował Mercy.

Kolana ugięły się pod nią, lecz przytrzymał ją mocno. Rozpuścił jej włosy i wsunął palce w jedwabistą gęstwinę. Kobięcy aromat oszalał ję jego zmysły. Odnalazł zamek na plecach i rozpiął go, aż suknia zsunęła się z ramion Mercy.

- Travis...- To była prośba i ostrzeżenie.

Sukienka opadła na podłogę, a on rozpiął klamerkę atłasowego stanika. Ostrożnie przesunął dłonią wzdłuż smukłej kolumny jej szyi, aż do zagłębienia między piersiami. Wolno, dręcząc ją i siebie, pieścił nabrzmiałe sutki.

Nie spieszył się, nie z tą kobietą i nie wtedy, gdy tak wysoka była stawka. Musiał udowodnić, że ją zna, skłonić, by uwierzyła, że mogą być razem. Zdjął z niej resztę ubrania, a serce załomotało mu na widok jej nagich kształtów.

- Odbierasz mi rozum. - Kreślił jej kształt dłońmi, ucząc się na pamięć każdej wypukłości ciała.

Przytuliła się do niego i niecierpliwie sięgnęła do pasa. Uniósł ją lekko, i delikatnie ułożył na czarnej pościeli. Miała złote włosy i alabastrową skórę, więc całą jej postać zdawała się promieniować wewnętrznym blaskiem na tle ciemnej bawełny. Nigdy nie widział czegoś tak równie pięknego. Nigdy też tak bardzo nie pragnął kobiety.

Mercy poruszała się niespokojnie, jęcząc cicho z rozkoszy. Chwycił ją za ręce i przycisnął je do podeszki. Pieścił ustami jej ciało, aż wygięła plecy w łuk i krzyknęła cicho. Trzymał ją tak uwięzioną, bezradną, ustami sprawiając, że wiała się i jęczała.

W końcu uwolnił ją, a ona, jęcząc cicho, zacisnęła dłonie na jego ramionach. Potem zaczęła drzeć, aż w końcu znieruchomiała, bezwładna i zdyszana.

- Niech cię лихо porwie - szepnęła, wbijając mu paznokcie w ramiona.

- Kiedy tylko zechcesz, skarbie.

Spojrzała w jego oczy i ujrzała w nich bezmiar namiętności. Przyciągnęła go lekko do siebie, a on z cichym jękiem przycisnął ją do ciemnej pościeli. Przyjęła go i pograżyła się

w doznaniach, świadoma jedynie wypełniającej ją obecności Trávisa, wznoszącego ją na coraz to nowe szczyty rozkoszy.

Travis wiedział, że nigdy nie przeżył niczego podobnego. Nigdy nie przypuszczał, że może tak to odczuwać.

Blask słońca przedostawał się przez przyprószone szronem okienne szyby i oświetlał dębowe meble sypialni, zielonoliwkową i czarną pościel oraz stojącą na nocnym stoliku buteleczkę, zawierającą środki uśmierzające ból. W pokoju było ciepło, lecz Mercy zadrżała, kiedy uświadomiła sobie, jakiego wyboru dokonał mężczyzna, który spał obok niej. Rzeczywistość nie była miłym gościem po namiętności, która połączyła ich tej nocy.

Przysunęła się bliżej, by przytulić się do Trávisa pod kołdrą, patrzeć, jak oddycha, samolubnie magazynować wspomnienia.

Jak by to było: budzić się u boku tego mężczyzny przez resztę swojego życia? Kochać go swobodnie, bez lęku?

To było zbyt piękne, zbyt kuszące. I nierealne. Przymknęła oczy, czując przyływ bólu.

- Przestań, skarbie. - Szorstkie palce pogładziły jej włosy, dotykając skroni. Przytulił ją mocno. - Nie chcę, żebyś budziła się przy mnie z płaczem.

Uniosła wzrok i drżącymi palcami dotknęła jego warg.

- Wiem. I wcale nie płaczę. Jeszcze nie...

- Wciąż jesteś przestraszona. Jeszcze za wcześnie, by mówić o małżeństwie. Nie powinienem naciskać.

Nie chciała znowu do tego wracać. Dlatego uciszyła go pocałunkiem. Zamarł z zaskoczenia i rozkoszy. Położył dłonie na jej plecach,

Chwilę później usadził ją na sobie, a Mercy krzyknęła, czując przyływ rozkoszy, która spalała nerwy i rozgrzewała krew. Połączyli się, unosząc na falach pożądania. Wiedziała, że to ulotne i nierealne, ale jednak w tym momencie nie mogła zaprzeczyć, że tylko to się liczy w maleńkim zakątku Wszechświata.

Potem oboje połączyli się w ekstazie. Dysząc ciężko, Mercy rzuciła się w otchłań rozkoszy. Słyszała, jak Travis chrapliwie wymawia jej imię, podążając za nią.

Po chwili powrócili do rzeczywistości. Bezwładna i zmęczona Mercy leżała na zmiętej pościeli. Ciemne włosy Travisa łaskotały jej pierś.

- Możemy to robić tak wolno, jak chcesz, skarbie.

- To nas zabije.

Milczał przez chwilę.

- Myślę, że to nie wystarczy, prawda?

Czule musnęła jego włosy, łyzy pociekły jej z oczu.

- Nie - mówiła z trudem. - Zaslugujesz na więcej.

- Mercy....

- Daj spokój, kowboju.. Pewnych rzeczy nie możemy naprawić. Nieważne, jak bardzo byśmy tego chcieli.

Przesuwał wargami po jej skórze. I nagle rozgrzana kropla wilgoci wylądowała między jej piersiami. Zaszokowana, wstrzymała oddech. To nie do pomyślenia, człowiek, który nie zważał na ból i wyzywał śmierć, drżał jak dziecko w jej ramionach, przycisnęła usta do jego ciemnych włosów, objęła go i oboje zapłakali.

- Zostało jeszcze trochę ciasta.

Mercy włożyła filiżankę i talerz do zlewu i zerknęła na

mamę.

- Dzięki, ale już naprawdę nie jestem głodna.

Joy, ubrana w jedwabną suknię w barwach jesieni, odebrała kawałek plastikowej folii i owinęła nią talerz.

- Prawie nic nie jadłaś podczas kolacji.

- To był wspaniały świąteczny posiłek, mimo że nie miałam apetytu. - Z telewizora w pokoju obok, gdzie drzemał Jonathan, dochodziły okrzyki tłumu kibiców futbolu. - Tata chyba nawet nie zauważył, że wszystkie dania były bez tłuszczowe.

- Och, na pewno to zauważył. - Joy uśmiechnęła się kwaśno. - Ale wie, że nie powinien narzekać. Dzięki tobie wziął sobie nowe reguły do serca i miejmy nadzieję, że będzie ich przestrzegał.

Mercy wsunęła dłonie w kieszenie jasnoniebieskich spodni, dopasowanych kolorem do jedwabnej bluzki. Ten elegancki strój wkładała zazwyczaj z okazji świąt.

- To dobrze. Chciałabym, żebyście oboje żyli jak najdłużej.

Joy umieściła ciasto w lodówce i zawahała się.

- Wiem, że ostatnie tygodnie nie były łatwe, ale pamiętaj, iż jestem ci wdzięczna, że byłaś przy mnie: Dobrze się czujesz?

Mercy wzruszyła ramionami i odrzuciła włosy do tyłu.

- Jasne. Dlaczego pytasz?

- Wyglądasz na zmęczoną. Nie słyszałam, kiedy wróciłaś zeszłej nocy.

- Było późno, - Coś ścisnęło ją w gardle. Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Mam jeszcze tyle do zrobienia, a jutro chcę wcześniej wyjechać, więc...

Troska i niepokój błysnęły w oczach Joycelyn. Podeszła do córki i objęła ją mocno.

- Nie musisz niczego tłumaczyć. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

Zaskoczona i wzruszona niezwykłym przejawem uczuć matki, Mercy głośno przełknęła ślinę:

- Wiem o tym, mam.

- Cokolwiek postanowisz, będę cię wspierać.

- Dziękuję. - Uścisnęły się, okazując sobie w ten sposób zaufanie i Wzajemną miłość. Mercy musiała odchrząknąć, zanim znowu mogła przemówić. - Ja też podjęłam pewną decyzję.

- To znaczy?

- Nie będę brała tylu dyżurów i zamierzam częściej was odwiedzać. Obiecuję. Ty i tato też moglibyście do mnie przyjeżdżać. Załatwię bilety do teatru albo...

- Bardzo chętnie. - Joy uśmiechnęła się i dotknęła kosmyka włosów Mercy. - Ładnie wyglądasz. Jesteś pewna, że nie namówię cię do zjedzenia choćby kawałka tego ciasta?

- Jestem pewna.

Mercy pokręciła głową i uśmiechnęła się, choć łzy przesłaniały jej oczy: Mężczyzna, którego kochała, był stracony, czuła się słaba i, zagubiona, ale zdawało się, że Bóg postanowił jej to inaczej wynagrodzić. Była Mu za to wdzięczna.

- Może lepiej sprawdzę, czy twój ojciec przeklina swoją ulubioną drużynę, czy też bije brawo. Może się przyłączysz? Pakowanie może zaczekać.

- Masz rację... - Zadzwoił telefon. - Idź, mam. Ja odbiorę.

Joycelyn zniknęła za drzwiami, a Mercy podniosła słu-

chawkę.

- Halo?

Dzwoniła Honey Jones, niepewna i jakby zakłopotana.

- Czy jest u ciebie Travis?

Mercy drgnęła, ale zmusiła się do zachowania spokoju.

- Nie. Miał zamiar wyjechać na święta do siostry w Deaton.

- O cholera! A Sam jest u swoich teściów w Austin.

Dreszcz niepokoju przebiegł Mercy po plecach.

- Co się dzieje?

- Właściwie... nic ważnego. Ale dzwoniła do mnie siostra jednego z naszych chłopców. Z rozmowy, którą podsłuchiwała, wynika, że to oni kradną bydło.

- To dobrze. Może wreszcie dostaną nauczkę.

- Jedyne problem w tym, że jej brat zniknął. Jest przekonana, że planują kradzież. Właśnie w tej chwili.

- W biały dzień? Z pewnością nie.

- Też tak powiedziałam, ale jeśli jakoś zorientowali się, że Sam i Travis wyjechali...

- Dzwoniłaś do szeryfa? - Mercy zmarszczyła czoło.

- Policjanci są zajęci. Na międzystanowej autostradzie doszło do karambolu. Chwilę potrwa, nim zwolni się jakiś radiowóz.

- A Travis właśnie przewiózł tego ich byka rekordzistę na swoje ranczo. Zbankrutują, jeśli stracą Grenadę. - Przygryzła wargę i podjęła decyzję. - Wiesz co? Pojadę tam zaraz i rozejrzę się. Ci smarkacze nie odważą się go ukraść.

- Ale nie przeszkodziłam ci w niczym?

- Oczywiście, że nie.

To będzie ostatnia przysługa oddana Travisowi, dotycząca

czegoś ważnego w jego życiu.: Po tym, jak go rozczarowała, cieszyła się, że może coś dla niego zrobić.

W głosie Honey zabrzmiała ulga.

- A ja pojedę na ranczo Prestonów. Gdybyś coś zauważyła, nie reaguj. Ci chłopcy mogą być groźni. Bądź ostrożna.

- Jasne. A co może się stać?

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mogło rozpętać się piekło. I rozpętało się.

Dojeżdżając kabrioletem do rancza Trvisa, Mercy jednym przerażonym spojrzeniem objęła ustawioną w otwartych drzwiach zagrody starą ciężarówkę z pociętą przyczepą do przewożenia koni, trójkę krzyczących i wymachujących łaskami chłopców i ogromnego rozwścieczonego byka, którego chcieli ukraść.

Serce podeszło jej do gardła. Kradzież bydła będzie przestępstwem mało znaczącym, jeśli złodzieje okażą się martwi.

Na podjeździe przed domem nie było żadnych innych, samochodów. Wiał zimny wiatr, unosząc na podwórzu tumany żółtego pyłu. Była tu sama.

Zahamowała gwałtownie przy zagrodzie, wyskoczyła na zewnątrz i podbiegła do ogrodzenia.

- Cholera! Mówiłem,, stań za tym draniem!

Potęźnie zbudowany nastolatek z twarzą buldoga stał osłonięty otwartymi wrotami przyczepy, wymachując i pokrzykując na kolegów, by zapędzili bestię do środka. Chase Conly i jeszcze jeden niewiele starszy chłopiec nerwowo biegali po zagrodzie tuż za parsającym i tupiącym bykiem. Pełne furii, błyszczące oczy zwierzęcia na moment zogniskowały się na przywódcy gangu.

Mercy wspięła się na ogrodzenie.

- Powariowaliście? Uciekajcie stąd!

Trzy przerażone twarze zwróciły się w jej stronę.

- Niech to szlag... - Przywódca bandy podbiegł do kabiny ciężarówki. Pozostała dwójka rozbiegła się w przeciwnych kierunkach. Byk prychnął, wybrał nowy cel i pognął za Chase'em.

Mercy kątem oka dostrzegła, że drugi chłopak wskoczył do samochodu. Najstarszy uruchomił silnik i z piskiem opon wyjechali przez bramę. Przyczepa podskakiwała za nimi jak gumowa piłka. Lecz przerażona Mercy wpatrywała się w szczupłego chłopca, pędzącego w stronę ogrodzenia. Zaciśnęła palce na belce płotu.

- Uciekaj! - krzyknęła.

Prawie mu się udało.

Chase dobiegł do ogrodzenia, ale wtedy Grenada go dopadł. Machnął głową jak taranem i ostrymi rogami zahaczył intruza, który wspinał się na płot. Chłopiec z rozłożonymi rękami wyleciał w powietrze i wylądował pośrodku zagrody. Nie ruszał się. Byk też znieruchomiał, wyraźnie zdziwiony, że jego ofiara nie daje znaków życia.

- O Boże!

Lekarski instynkt sprawił, że zareagowała odruchowo. Niewiele myśląc, wdrapała się na płot, zeskoczyła i biegiem ruszyła w stronę nieruchomego, bezbronnego chłopca.

Nagły ruch zwrócił uwagę byka. Grenada odwrócił się, parsknął, rozpryskując wokół kropelki śliny, i zaatakował znowu. Pędził prosto na leżącego chłopca.

Mercy podbiegła z boku, krzyczała i wymachiwała rękami, aż rozwścieczony byk dostrzegł ją i zwrócił ku niej głowę. Desperacko rzuciła kurtkę w przeciwnym kierunku.

Byk niemal dał się podejść. Przebiegł kilka kroków za opadającą kurtką, potem zorientował się, odwrócił, schylił głowę i pogalopował ku Mercy.

Przerażona, odskoczyła instynktownie, ale nie była dość szybka. Uderzenie rogów powaliło ją na kolana. Niemal oślepla od pstrego bólu w prawym ramieniu. Miała wrażenie, że gdzieś z daleka słyszy krzyk.

Grenada atakował znowu. Potężne kopyta wznosiły tumany kurzu. Obok niej na ziemi jęczał bezradnie Chase. Osłoniła go swoim ciałem. Czowała, że zbliża się śmierć.

- Co do diabła?

Travis szarpnął kierownicą i ledwo -wyminał pędzącą po jego własnym podejździe ciężarówkę. Pusta przyczepa przefrunęła obok, niczym ogromny nietoperz. W kabinie rozpoznał chłopca o twarzy buldoga. Poczował ucisk w żołądku i zaklął, bowiem w tej właśnie chwili obok zagrody Grenady zauważył czerwony kabriolet Mercy i ogarnął go paniczny lęk. Działo, się coś bardzo niedobrego.

Wyskoczył z furgonetki i przeskoczył ogrodzenie jak plotkarz. Serce podchodziło :mu do gardła. Widział, co się dzieje.

Dziwna nienaturalna pozycja chłopca.

Grenada z pochylonym, łbem, zbliżający się z, wyraźnie morderczymi zamiarami do ofiary.

Krew.

Wtedy Mercy zrobiła rzecz nieprawdopodobną: rzuciła się na chłopca, osłaniając go własnym ciałem przed ciosami rogów Grenady.

- Nie!

Przerażenie ścisnęło Trávisa za gardło. Wszystko działo się

jakby w zwolnionym tempie. Czuł, że nie zdąży ocalić Mercy. Ogarnęła go rozpacz.

Trwało to całą wieczność. Lub zaledwie ułamek sekundy. W tym krótkim czasie musiał podjąć decyzję..Gra szła o życie.-Jej życie.

I stanął na drodze pędzącego Grenady.

Nagle jakiś człowiek w czerni pojawił się między nią a rozwścieczonym zwierzęciem. Mercy sądziła, że już wcześniej przeżyła chwile grozy, lecz dopiero teraz naprawdę ogarnęło ją przerażenia. Travis!

Z rozstawionymi nogami, kołysał się lekko na piętach o kilkadziesiąt, kilkanaście centymetrów od ostrych rogów. A potem chwycił za te rogi i serce Mercy przestało bić.

Travis zrobił unik godny prawdziwego mistrza rodeo. Byk skręcił w prawo, porzucając Mercy i chłopca. Ku jej przerażeniu, Travis obiegł zwierzę dookoła i znowu stanął przed bykiem, by zwrócić na siebie jego uwagę.

Czując ucisk w gardle, Mercy nie mogła wydobyć z siebie głosu. Jednak Travis sprawił, że to wszystko wydawało się złudnie łatwe. Znowu czekał do ostatniej sekundy, zrobił zwrot i byk pognał przez otwartą bramę na podwórze.

Mercy poczuła zawroty głowy. Uklękła, nie zwracając uwagi na kłujący ból w prawym ramieniu, i od razu zbadła nieprzytomnego chłopca. Używała tylko jednej zdrowej ręki.

Travis zamknął bramę, co było zbędnym środkiem ostrożności, jako że galop byka zmienił się w spokojny, obojętny trucht wzdłuż ogrodzenia podjazdu, gdzie zwierzę pożywiło się kilkoma źdźbłami trawy.

Kiedy Travis stanął obok Mercy, był przerażony i blady. Wyjął z kieszeni kurtki chustę i otarł krew sączącą się przez

jedwabny rękaw jej bluzki.

- O Boże, skarbie. - Głos mu drżał.
- Nic takiego mi się nie stało. - Sprawdziła puls Chase'a, uniosła mu powiekę. Oczy pociemniały jej z bólu, ale mówiła stanowczo, tonem nie znoszącym sprzeciwu: - Przynieś mi z samochodu walizeczkę i wezwij śmigłowiec. Z tym chłopcem jest źle.

W sali szpitala w Fort Worth panował spokój i półmrok rozświetlany jedynie wpadającymi przez żaluzje pojedynczymi promieniami słońca. Na stoliku stał turkusowy dzbanek i szklanka. Przycisk służący do wezwania pielęgniarki i pilot telewizora leżały przypięte klamerką do pościeli.

Mercy nie miała wątpliwości, że odzyska zdrowie, lecz po dwóch dniach leżenia w szpitalnym łóżku dostawała szału.

Po raz setny raz w ciągu ostatniej, godziny spojrzała niecierpliwie na czujnik kroplówki połączony z wbity w rękę igłą. Rana, którą zadał jej byk, okazała się dość głęboka, wymagała dezynfekcji dwudziestu jeden szwów i dożylnych antybiotyków. Mercy nie mogła protestować i nawet nie usiłowała tego robić. Zresztą sama zaordynowałaby takie właśnie leczenie.

Tymczasem musiała znosić docinki personelu szpitala. Niektórzy twierdzili, że sama celowo wezwała helikopter, żeby powrócić do szpitala w tak spektakularny sposób. Inni sugerowali, że tylko udaje, by załatwić sobie kilka dni dodatkowego urlopu.

Kogo ona chce oszukać? mówili, a potem żądali, by wracała do pracy i zajęła się oblegającymi izbę przyjęć pacjentami:

Przynajmniej, pomyślała Mercy, miło jest wiedzieć, że tęsknili za mną. Kiedy tylko poczuje się lepiej, zażąda zwolnienia i wróci do domu.

Westchnęła i oszczędzając obandażowaną rękę, wcisnęła przycisk na poręczy, żeby podnieść wyżej poduszkę. Od chwili kiedy stała się tylko wymagającą natychmiastowej pomocy pacjentką, pewne sprawy zyskały całkiem inny wymiar.

Leżąc na noszach, kierowała sanitariuszami, którzy zajmowali się rannym chłopcem. Ale mimo ich wysiłków Chase leżał teraz nieprzytomny na oddziale intensywnej opieki medycznej, ze złamaną ręką i urazami głowy. Po tym, co wspólnie przeżyli, interesowała się stanem chłopca. Nie mogła odwiedzić go osobiście, co tylko pogłębiało jej frustrację.

Próbując ułożyć się wygodniej, Mercy wygładziła poduszkę i naciągnęła na kolana kwiecisty szpitalny szlafrok. Joycelyn przywiozła córce chyba z tuzin jedwabnych nocnych koszul, ale Mercy musiała przyznać, że te bawełniane były bardziej praktyczne. Jednak Travis miał rację. Były też bardzo przewiewne.

Nie widziała Travisa od dnia wypadku na ranczu i wciąż prześladowało ją wspomnienie jego upiornie bladej twarzy. Tak wiele musiała przemyśleć, tak wiele powiedzieć, a tkwiła tu podłączona do tej przekłętej kroplówki.

Ciche stukanie do drzwi przerwało jej burzliwe myśli, Widok znajomego czarnego kapelusza spowodował gwałtowne bicie serca. Ale w drzwiach zatrzymał się jakiś wysoki obcy człowiek.

- Doktor Holt?- Potężny mężczyzna w wytartej dżinsowej kurtce miał czarne, rozwichrzone włosy i chrapliwy głos.

Zakłopotany, miał w dłoniach kapelusz, jakby nie był przyzwyczajony do takich sytuacji. Jego twarde rysy ocieniała dwudniowa szczecina. - Przepraszam, że przeszkadzam. Jestem Dan Conly, wuj Chase'a.

Mercy Uśmiechnęła się do swojego gościa.

- Proszę wejść, panie Conly. Jak się czuje Chase?

- Przed chwilą odzyskał przytomność. Mówią, że wyjdzie z tego.

- Och, jak się cieszę. - Ulga i satysfakcja rozjaśniły rysy jej twarzy.

- Chciałem, żeby pani wiedziała, co z nim się dzieje.

I chciałem podziękować. Opowiedzieli mi, że ryzykowała pani życie, żeby go ratować. I że gdyby pani tam nie było, może wcale nie trafiłby do szpitala. Jestem pani wdzięczny. Bardzo niż mogę wyrazić.

- Nie ma o czym mówić. Zrobiłam to, co uznałam za słuszne. Cieszę się, że Chase wraca do zdrowia. Wiem, że bardzo się pan martwił.

- Nie mam innej rodziny, on też nie. Ten głupi dzieciak próbował mnie ratować. - Gniew i odcień dumy zabrzmiały w jego głosie. - Raz czy dwa popełniłem drobne przestępstwo, wie pani. Starsi chłopcy powiedzieli, że jeśli im nie pomoże, wrobiać mnie w te kradzieże. Obiecali, że wyślą mnie do pudła a on trafi znowu do domu dziecka. I uwierzył. Paskudna sprawa.

- Nieczęsto zdarza się taka lojalność, panie Conly. Chase musi bardzo pana kochać.

Dan zakaszłał. Mercy udała, że nie dostrzega wzruszenia w jego oczach. Dla takiego mężczyzny byłoby to zbyt krępujące.

- Mam nadzieję, że wszystko jakoś się wyjaśni - wy-

mamrotała.

Przestąpił z nogi na nogę, zmiął kapelusz i włożył go na głowę.

- Ta panna Jones chyba nam pomoże. Chodzi o jakieś szczególne okoliczności łagodzące. Proszę pani, jeśli mogę się jakoś odwdzięczyć....

- Proszę tylko pilnować chłopca. - Wyciągnęła do niego rękę.

Conly uściśnął jej dłoń ostrożnie, jakby była zrobiona z porcelany, potem wycofał się do drzwi.

- Dziękuję raz jeszcze. - Dotknął kapelusza, potem otworzył drzwi i wyszedł na korytarz..

Mercy, zamyślona, spojrzała w okno. Być może Chase, i jego wuj zdołają się wreszcie jakoś dogadać.

Nagle ktoś wszedł do sali. Mercy obejrzała się. W progu stał mężczyzna w czerni.

- Wystarczy spuścić cię na chwilę z oka - poskarżył się cicho Travis- a już odwiedzają cię jacyś faceci.

Wstrzymała oddech. Oboje otarli się o śmierć, więc mogli rozmawiać już tylko szczerze.

- Jedynie twoje odwiedziny mnie interesują. Gdzie się podziewałeś, kowboju?

Travis przestał się kpiąco uśmiechać.

- Kiedy usłyszałem, że dobrze się czujesz, ruszyłem w drogę, by odebrać nasze bydło od wrednego bandyty nazwiskiem Buzz Henry. Ten łajdak wciągnął do kradzieży tych smarkaczy.

- Chyba żartujesz.

- W Teksasie nie idzie się do więzienia za kradzież bydła, ale ten drań będzie albo w pudle, albo gorzko pożałuje tego,

co zrobił.

Uniosła brwi, by ukryć poirytowanie.

- Cieszę się, że postanowiłeś mnie odwiedzić. To miło z twojej strony.

- Budzisz we mnie wyrzuty sumienia. Czuję się jak smar-kacz przyłapany na kradzieży cukierków. - Zamknął drzwi i podszedł do łóżka. Ujął dłoń Mercy i musnął czubkami jej palców swoje wąsy. - Jak na panią doktor - wymruczał - która, jak mówimy w naszym samobójczym cyrku „powąchała ju-chy”, nie wyglądasz źle. Dobrze się czujesz? Nic cię nie boli?

Poruszona tym uwodzicielskim gestem, pokręciła głową.

- Nie jest źle. Ale teraz dopiero rozumiem, co czułeś, gdy sam obrywałeś.

- Wolałbym ci oszczędzić tego rodzaju doświadczeń. - Zacisnął zęby. -Chciałem przyjechać wcześniej, ale nie by-łem pewny, czy zechcesz mnie zobaczyć.

- Człowieka, który ocalił mi życie? Wiesz przecież, że mam ci parę rzeczy do powiedzenia. Przede wszystkim bardzo ci dziękuję.

- Nie na wdzięczności mi zależy - burknął.

Kciukiem gładził wnętrze jej dłoni. Zadrżała pod wpływem tego dotyku.

- Jestem ci wdzięczna mimo wszystko. I nie tylko.

- Cieszę się, że przybyłem w odpowiedniej chwili. Nara-żałaś życie dla tego chłopaka. - Z niedowierzaniem pokręcił głową. - Śmiertelnie mnie przeraziłaś. Aż do tej chwili nie rozumiałem, jakie to uczucie, gdy ktoś, kogo kochasz, na, twoich oczach podejmuje śmiertelne ryzyko, a ty nic nie mo-żesz zrobić.

- A teraz rozumiesz? - spytała cicho.

- Teraz tak. Omal nie umarłem, widząc cię poranioną. Więc teraz rozumiem ciebie, skarbie. - Na twarzy Trvisa pojawił się wyraz bólu, oczy mu pociemniały. - Twoja decyzja nadal mi nie odpowiada, ale byłem zarozumiałym łobuzem, nie szanując twoich uczuć. Przepraszam. Chciałbym tylko... do diabła, sama wiesz.

Słowa Trvisa podziałały na Mercy jak balsam. Dotknęła jego policzka.

- Mogę cię o coś spytać?

- Pewnie.

- Gdybyś miał to przeżyć jeszcze raz, czy też walczyłyś z Grenadą, by mnie ratować? Nawet wiedząc, że może tym razem nie będziesz miał tyle szczęścia?

- Jasne - odparł zaszokowany.

- Ja też ponownie ratowałam Chase'a. Nie byłam odważna, zrobiłam to, co musiałam. - Nabrała tchu. - Więc jeśli oboje mamy ryzykować, to może powinniśmy robić to razem?

Travis przymknął oczy.

- Co chcesz powiedzieć?

- Najbardziej bałam się tego, że możemy oboje zginąć w tej zagrodzie. Miałam świadomość, że ze strachu pozbawiłam nas wszystkich wspólnych chwil. - Szeroko otwierając . oczy, podjęła największe ryzyko w życiu. - I żałowałam, że nigdy nie powiedziałam ci, jak bardzo cię kocham, Travis.

- Skarbie. - Drżącymi dłońmi ujął jej twarz i pocałował ją czule. - Czy myślałaś, że o tym nie wiem?

- To dość oczywiste, co? Odkąd skończyłam siedemnaście lat.

Usiadł na brzegu łóżka i nagle przemówił niemal gniewnie:

- Więc jak to się dzieje, że dwoje ludzi, którym tak na sobie zależy, wciąż żyje z dala od siebie?

Ujęła jego dłonie i przycisnęła je do policzków.

- Byłam taka przestraszona.

- Wiem.

- Ale ostatnie wydarzenia sprawiły, że przejrzałam. To, co robiłeś w zagrodzie, przeraziło mnie i zdumiało. Wiesz, przeciwko czemu stajesz, znasz swoje ograniczenia i robisz, co do ciebie należy. Nie miałam racji, wątpiąc w ciebie.

- To rozumiałe, skarbie. - Skrzywił się lekko. - Przyznaję, że ujeżdżanie byków nie jest najbezpieczniejszym zajęciem.

- W każdym razie rozumiałam, że życie jest zbyt cenne, by je marnować, a pozostanie poza twoim życiem przeraża mnie bardziej niż cokolwiek innego. - Łza spłynęła z kącika jej oka. Powiedziała drżącym głosem: - Jeśli nie zniszczyłam wszystkiego, jeśli wciąż mnie pragniesz, czy myślisz, że jakoś nam się uda?

- Jeśli? Mercy, jesteś wszystkim, o czym marzyłem. - Nadzieja, radość, pożądanie rozbłysły mu w oczach. Pełne emocji słowa zabrzmiały cicho. - Myślę, że dwoje inteligentnych ludzi, którzy się kochają, może robić wszystko, co im się spodoba. - Pochylił się, musnął ustami kącik jej oka, zlizął łzę, a potem pocałował Mercy czule. - A między innymi wybrać drogę, po której moglibyśmy iść razem! Twoja praca...

- Może być równie ciekawa we Flat Fork, jak i tutaj. - Skrzywiła się i uniosła obandażowaną rękę. - Mam na to dowód.

Uśmiechnął się, rozbawiony, pogładził jej policzek i miodowe włosy.

- Więc musimy, musimy oboje zmienić pracę? - spytał,
- Musimy. - Wzruszyła ramionami. - Ale byłam chyba zbyt zajęta tłumieniem moich uczuć, by pomyśleć, że życie razem może być prostsze, nie trudniejsze.

- Mama zawsze mówiła, że miłość dzieli problemy, a mnoży szczęście.

Wygięła usta w podkówkę.

- Żałuję tylko, że nie wpadłam na to wcześniej.

- To fakt, długo musieliśmy czekać - zgodził się z powagą. - Ale Bóg widzi, że przez wszystkie te lata cierpień zasłużyliśmy na odrobinę szczęścia.

- Myślę, że powinniśmy wydorośleć i nie próbować więcej udowodniać czegoś całemu światu.

- Jesteś sprytna, niebieskooka.

- A ty jesteś niepoprawnym podrywaczem, ponieważ oboje wiemy, że jestem po prostu uparta. Ale kiedy się już czegoś nauczę, to długo o tym pamiętam. - Westchnęła. - Kochać cię, to rzecz warta ryzyka. Mam nadzieję, że jesteś gotów. Postanowiłam spróbować.

Oczy mu zalśniły.

- To zawsze chciałem usłyszeć, słodka Mercy. Pocałuj mnie, skarbie.

Pamiętając o jej zranionej ręce i kroplówce, ułożył się obok na wąskim łóżku i przytulił ją do siebie.

Mercy westchnęła i przysunęła się bliżej.

- Pielęgniarka dostanie zawału, kiedy zobaczy, że leżysz w łóżku w brudnych buciorach.

- Niech dostanie. Są rzeczy, które mężczyzna musi zrobić, kiedy mówi kobiecie, że ją kocha. A ja cię uwielbiam, skarbie.

Pogładziła jego ciemne włosy.

- Ja ciebie też, kowboju - szepnęła.

Travis pocałował ją mocno. Oboje oddychali z trudem.

Kiedy odsunął się od Mercy, jęknął sfrustrowany.

- Jak długo będziesz uzależniona od tej konstrukcji?

- Już niedługo.

- To dobrze. Zabiorę cię stąd, znajdziemy jakiś cichy kąt i poważnie porozmawiamy o przyszłości.

Rozpięta zatrzasnęła jego czarnej koszuli, wsunęła palce w rozcięcie i pogładziła pierś.

- Właściwie mam już pewien pomysł.

- Tak? - Z roztargnieniem pocałował ją w ucho.

- Na nasz miodowy miesiąc.

Odsunął się i uśmiechnął, odsłaniając zęby.

- Chcesz ze mnie zrobić porządnego człowieka?

- Przy najbliższej okazji, kowboju - odparła surowo. -

Casanova z Teksasu przechodzi na emeryturę. I nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów!

- Nie, proszę pani, ani jednego. - Zadrżał, czując dotyk jej palców na swojej piersi. - Więc dokąd chcesz jechać, żeby spędzić miodowy miesiąc?

Mercy przygryzła wargę, zebrała się na odwagę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Do Las Vegas.

Travis był wyraźnie zdumiony.

- Naprawdę chcesz wybrać to hałaśliwe miasto?

- Ma swoje zalety.

- Na przykład?

- Krajowe finały rodeo.

Znieruchomiał.

- Mówisz poważnie?

Skinęła głową i ucałowała Travisa.

- Skarbie - powiedziała z teksaskim akcentem. - Najwyższy czas, żebym zobaczyła, jak jeździsz. Będę ci kibicować aż do finałów. Wierzę, że wygrasz.

Radość wypełniła mu serce. Pochylił się i ucałował ją znowu.

- Już wygrałem, skarbie - powiedział.

RS

EPILOG

- Niespodzianka, skarbie.

Mercy znieruchomiała, stojąc w progu swojego gabinetu w szpitalu we Flat Fork. W skórzanym fotelu siedział szczupły mężczyzna, opierając buty o blat zaśmieconego biurka.

- Rzeczywiście jest to niespodzianka - powiedziała. - Byłeś umówiony, kowboju?

Travis uśmiechnął się chytrze.

- Znam tych, którzy tu rządzą.

Mercy stanowczym gestem zamknęła drzwi gabinetu, rzuciła na biurko kartotekę swojego ostatniego pacjenta, potem usiadła na kolanach swojego poślubionego przed rokiem męża i ucałowała go czule

- Witaj w domu. Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj.

- Wcześniej skończyliśmy nagranie.

Ucałował ją w szyję, a potem sięgnął pod wykrochmalony fartuch, by pogłodzić jej brzuch. Mercy przyłgnęła do niego.

- Dobrze ci poszło? - spytała.

- Jak po maśle. Kto by przypuszczał, że będą mi płacić nieźle pieniądze za to, żebym pogadał w telewizji.

- Jesteś w tym dobry. - Uśmiechnęła się, sięgnęła do mistrzowskiej kłamry pasa. - Nikt nie potrafi lepiej komentować rodeo niż Travis King, trzykrotny mistrz świata.

- Obecnie na emeryturze.

- Jesteś pewien?

- Nie żałuję, skarbie. Mam dość pieniędzy z handlu bydłem, a teraz jeszcze ten kontrakt z telewizją. Czuję się rozpieszczony, nie muszę jeść prochów przeciwbólowych i nie

chodzę jak osiemdziesięcioletek.

- Nie masz kłopotów z nogą?
- Żadnych.

Przytuliła się do niego i czubkiem języka przesunęła po jego wąsach.

- To dobrze. Mam na dziś ciekawe plany.

Travis zachichotał, przejechał dłonią po jej udzie.

- Dobrze. Uwielbiam wracać do domu. Skończyłaś już pracę?

- Nareszcie. A myślałam, że podczas Halloween w Fort Worth trafiają się czubki. We Flat Fork nikt nie ma równo pod sufitem.

- Ani chwili nudy?

Oczy jej błysnęły. Rozpuściła włosy, które opadły jej na ramiona.

- Nie, i uwielbiam to. Przejęcie praktyki od doktora Hazeltona było najważniejszą decyzją.

- Oprócz małżeństwa ze mną.

Roześmiała się.

- Prosisz ó komplementy, kowboju?

- Mogłabyś powiedzieć, że za mną tęskniłaś - poskarżył się.

Objęła go za szyję i pocałowała tak, że obojgu zakręciło się w głowach.

- Co ty na to?

Jęknął cicho i chwycił Mercy za biodra. Ogarnęła go fala rozkoszy, kiedy dotknął koronkowego pasa do pończoch.

Uśmiechnął się szerzej.

- Nikt oprócz mnie nawet się nie domyśla, co seksowna lekarka nosi pod fartuchem. Świętujesz powrót swojego bo-

hatera, niebieskooka?

- Między innymi - wymruczała. - Mam dla ciebie niespodziankę w prawej kieszeni.

Znów przesunął dłonią po jej biodrach.

- Kiedy tak mi wygodnie.

- No, wyciągaj - ponagliła go ze śmiechem.

Mrucząc coś niewyraźnie, sięgnął do kieszeni fartucha i wyjął różowy skrawek papieru. Przyjrzał się mu z zaciekawieniem.

- Wiesz, że nie znam się na medycynie, więc...

Zamilkł, szeroko otworzył oczy i opuścił nogi na podłogę tak szybko, że oboje omal nie spadli z krzesła. Natychmiast odzyskał równowagę i posadził sobie Mercy z powrotem na kolanach.

- Do.. .datni? — wykrztusił.

- Aha.

- Dziecko? Nasze? Jasne. Nie możemy pozwolić, by Prestonowie nas wyprzedzili.

Uśmiechnęła się i pogładziła jego policzek.

- Urodzę latem tak jak wypada żonie ranczera.

- Dzięki Bogu, że nie zawsze robisz to, co wypada, Mercy.

- Wiedziałam, że się ucieszysz.

- Skarbie, jestem uszczęśliwiony. Będziemy prawdziwą rodziną. Kocham cię! Ucałował ją mocno.

Westchnęła.

- Mam wrażenie, że od tego zaczęło się całe to zamieszanie. Mógłbyś to powtórzyć, kowboju?

- Z przyjemnością, skarbie. - Uśmiechnął się. - Zamknij drzwi na klucz i zobaczysz, jakie urządzimy rodeo.